

Odgłosy

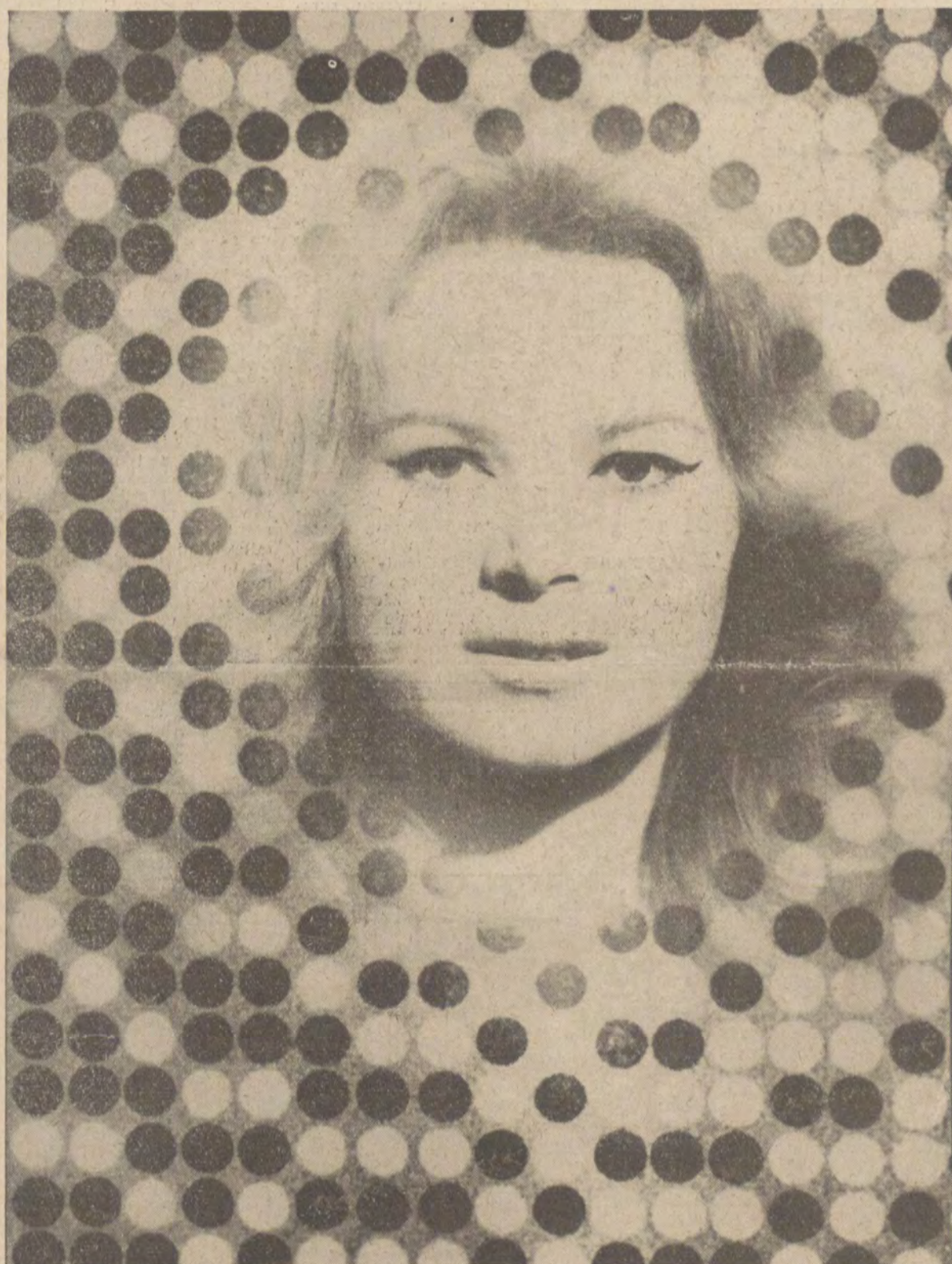


16 (700)

18. IV. 1971 r.

Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV



Fot. W. Parys

PIOTRKOWSKA

KONRAD FREJDLICH: Jako temat naszego dzisiejszego spotkania proponuję przedyskutowanie sprawy przyszłości ulicy Piotrkowskiej, która dla większości mieszkańców tego miasta, i dla przybyszów z zewnątrz jest symbolem Łodzi; Łodzi, powiedzmy to sobie na wstępie, zaniedbanej. Rad jestem, że w imieniu redakcji „Odgłosów” mogę powitać na naszym spotkaniu p. prof. Annę Rynkowską, autorkę książki o Piotrkowskiej, p. Waclawa Kondka, autora cennego albumu rysunków poświęconych tej ulicy, p. mgr Antoniego Szrama, miejskiego konserwatora zabytków, p. inż. architekta Janusza Mackiewicz, współautora projektu rekonstrukcji ulicy Piotrkowskiej, wreszcie redaktora Romana Lobodę, znanego pisarza.

Proszę państwa, jak już powiedziałem, Piotrkowska jest powszechnie uważana za symbol Łodzi, chociaż zastanawiam się, czy aktualnie można uważać ją za wizytówkę miasta. Wydaje mi się, że najpierw trzeba by wiele na tej ulicy dokonać, a przede wszystkim przywrócić jej właściwą rangę i to pod każdym względem. Trzeba, to narzuca się samo przez się, utrzymać jej zabytkowy charakter, wyeksponować jej swoiste piękno, a jednocześnie zatroszczyć się o to, aby była wygodna i funkcjonalna. Czy da się uwzględnić te wszystkie wymogi jednocześnie? Jeśli zaś nie, to jakiego rodzaju koncepcja powinna zwyciężyć? Każdy z nas nosi swoją własną wizję Piotrkowskiej gdzieś pod sercem, toteż przypuszczam, że nasza wymiana poglądów na ten temat będzie żywa, a nawet gorąca. Zapraszam państwa do rozmowy.

ANNA RYNKOWSKA: Zaczęłam od pytania: co wiemy dziś o Piotrkowskiej? A muszę stwierdzić, że przez długie lata nie mieliśmy żadnej poważniejszej literatury na ten temat, jeśli pisano o tej ulicy, to najczęściej bardzo nieprzychylnie, odzywały się nawet gło-

sy, że Piotrkowską należy zniszczyć, bo jest brzydka i niewygodna. Ostatnio Piotrkowska znowu stała się modna i dużo się o niej pisze, tylko już w innej, właściwej tonacji.

Ale kiedy zaczęłam badać historię Piotrkowskiej zastanawiając się równocześnie jak w ogóle wygląda zagadnienie głównej ulicy miasta, okazało się, że niewiele można znaleźć na ten temat w literaturze. Moja monografia jest właściwie pierwszą próbą w takim ujęciu.

W miarę, jak poznawałam materiały o Piotrkowskiej, ta ulica zaczęła mnie coraz bardziej pasjonować. Kluczem do zrozumienia jej piękna stały się dla mnie domy włoskie, choćby ten przy Piotrkowskiej 151. Razi mnie nawet, że niektórzy widzą tam tylko secesję, a przecież secesja ma swoje dość ściśle określone formy. Zachęta do badań były także rysunki p. Kondka, bo on także dostrzegł urodę tej ulicy. Denerwowały mnie zawsze dyskusje, które miały na celu podkreślanie rzekomej brzydoty Łodzi i przyznam się, czekałam, że wreszcie pojawią się inne, bardziej sprawiedliwe głosy. I te głosy się wreszcie pojawiły, najlepszy dowód, że zebraliśmy się tutaj, aby mówić o Piotrkowskiej w zupełnie innej tonacji.

Nie można się zresztą ograniczyć do samych wypowiedzi. Za nimi muszą iść określone decyzje, aby nie mogła się powtórzyć praktyka dewastowania ulicy, jak to miało miejsce parę lat temu. Przypominam sobie na przykład, że kiedy wynikła sprawa wyburzenia kamienicy przy Piotrkowskiej 276, ówczesny konserwator miejski zwrócił się do mnie z propozycją, przygotowania obrony tego domu przed specjalną komisją w Warszawie. Było czego bronić, był to bowiem dworek zbudowany w r. 1840 przez fabrykan-

Dalszy ciąg na str. 3

TERESA WOJCIECHOWSKA

Przejazdów czas stracony

Komunikacja miejska to temat jeszcze popularniejszy niż medycyna. Zapewne dlatego, że więcej osób – i częściej – korzysta z tramwajów i autobusów niż z przychodni lekarskich. Tak więc na temat kursowania tramwajów i autobusów istnieje opinia tyle powszechna co jednoznaczna. Aby ją usłyszeć, wystarczy stanąć na przystanku, czy wsiąść do tramwaju w godzinach szczytu. Nie chcę pójść na łatwiznę, opinii tych nie będę cytować, nie chcę też wyrażać się nieparlamentarnie.

Sieć komunikacyjna wielkiego przemysłowego miasta, to jeden z układów krążenia, warunkujących prawidłowe funkcjonowanie organizmu miejskiego, a wszelkie zakłócenia w komunikacji to zakłócenia w sprawnej pracy tego organizmu. System komunikacji miejskiej w Łodzi nie jest najdoskonalszy, a składa się na to wiele przyczyn zarówno obiektywnych, jak i subiektywnych. Najpierw może o tych pierwszych.

Łódź jest miastem trudnym dla organizowania właściwej sieci komunikacyjnej, trudna była zawsze, a stawała się coraz trudniejsza wraz ze wzrostem liczby mieszkańców, wraz z rozbudową miasta, powstawaniem nowych dzielnic mieszkaniowych. Ciasne śródmieście, rosnąca stale liczba pojazdów mechanicznych, wymagały jak we wszystkich rozwijających się miastach, poszukiwania nowych rozwiązań. Stary system komunikacji tramwajowej stawał się bowiem coraz mniej sprawny, zatory i korki na wąskich jezdniach

Dalszy ciąg na str. 5

Atrakcyjny kontrahent

„BUSINESS WEEK” — NOWY JORK

Brytyjska kompania „International Computers Limited” (ICL) oraz inni producenci elektronicznych maszyn obliczeniowych (w skrócie: EMO) robią starania, aby zaferować Rosjanom EMO i wejść na rynek, którego chłonność w tym zakresie, według niektórych ocen, w okresie najbliższego pięcioletnia oblicza się na przeszło miliard dolarów. Na rynek rosyjski oglądają się także niektóre kompanie amerykańskie.

Niedawno przybyła do Moskwy grupa handlowa producentów EMO oraz eksperci czterech brytyjskich kompanii, specjalizujących się w eksploatacji techniki obliczeniowej — a w tej liczbie również filii „C. G. Greltz Company”. Wezmą oni udział w sympozjum dotyczącym zastosowania elektronicznej techniki obliczeniowej w przemyśle lekkim. Resort planowania, który organizuje tę serię wykładów, zebrał audytorium liczące osiemdziesiąt pięć ekspertów różnych gałęzi radzieckiego przemysłu.

Związek Radziecki, doceniając rosnące znaczenie elektronicznej techniki obliczeniowej, powołał do życia Instytut Kierowania Gospodarką Narodową.

Kompania ICL sprzedała Rosjanom swoją pierwszą EMO sześć lat temu. W 1970 roku kompania sprzedała ZSRR osiem takich maszyn

obliczeniowych wraz z koniecznymi urządzeniami za sumę 8,6 miliona dolarów. Zainstalowano je w Urzędzie Planowania i Instytucie Floty Handlowej.

Obecnie, między USA a Wielką Brytanią wybuchł spór, ponieważ ICL zamierza sprzedać swoje dwie najbardziej wydajne EMO radzieckiemu centrum naukowemu w Sierpuchowie. Rząd USA występuje przeciwko tej transakcji, argumentując, iż tego rodzaju maszyny obliczeniowe mogą być użyte do celów wojskowych.

Aby urzeczywistnić tę sprzedaż, na sumę 12 milionów dolarów, ICL musi uzyskać zgodę brytyjskiego ministerstwa handlu. Ministerstwo handlu, natomiast, nie wyda eksportowej licencji bez zgody COCOM — technicznej grupy sojuszników zachodnich, która określa zasady handlu z krajami bloku socjalistycznego.

Kilka lat temu Waszyngton zakazał sprzedaży Związkowi Radzieckiemu elektronicznej maszyny obliczeniowej „Control 6600”, dwukrotnie wydajniejszej od maszyn kompanii ICL.

USA mogą przeszkodzić w transakcji kompanii „International Computers Limited” ze Związkiem Radzieckim, ponieważ ICL nie jest zabezpieczona od takich ingerencji: produkowane przez nią EMO są oparte na konstrukcjach amerykańskich lub na amerykańskich częściach.

Mówią naoczni świadkowie

„INTERNATIONAL HERALD TRIBUNE” — PARYŻ

Wojska sajsjońskie, pod naporem przeciwnika, opuszczają w pośpiechu swoje bazy strategiczne w Laosie i, ponosząc ciężkie straty, w popłochu wycofują się na granicę Płd. Wietnamu. O takiej sytuacji na froncie informują przede wszystkim piloci amerykańskich śmigłowców. Jeden z nich określił to, co tam widział jako pogrom.

Podczas ataków przeciwnika na bazę „Lolo” i strefę „Brown” na południowy wschód od Sepono, południowowietnamscy ponieśli duże straty w zabitych, rannych i zaginionych bez wieści.

Dowództwo południowietnamskie podało do wiadomości, iż z Laosu ewakuowano trzy tysiące żołnierzy i oficerów sajsjońskich, w warunkach coraz gwałtowniejszych ataków przeciwnika.

„W Waszyngtonie mogą sobie mówić ile wlezie o ruchomym manewrze, ale tam, gdzie byłem, wszystko to można określić jednym słowem: odwrot, i to cholernie pośpieszny” — powiedział amerykański oficer łącznikowy, Fred Few.

Jedną ze zdziwiających kolumn wojsk sajsjońskich z trudem dotarła do strefy „Brown”, będącej pozycją czołową i znajdującą się na razie w rękach wojsk

południowowietnamskich. Wkrótce jednak odczuła ona na własnej skórze, że i ta pozycja znajduje się pod nieprzerwanym ogniem moździerzy, rakiet i artylerii.

Jak mówią lotnicy, wszystkie bazy wojsk sajsjońskich są otoczone działami przeciwlotniczymi przeciwnika, najrozmaitszych typów i kalibrów.

Tymczasem amerykańska baza Khe Sanh znajduje się w dalszym ciągu pod ostrzałem rakiety i artylerii. Śmigłowce musiały unieść się w powietrze, aby uniknąć zniszczenia na ziemi.

Do szpitala I sajsjońskiej dywizji w Chan Ngi wciąż napływają ranni i zabici, transportowani przez helikoptery. Lotnicy mówią, że wielu żołnierzy „po prostu porzucili”.

Dowódca I dywizji, gen. brygady Fan Wan Fu, powiedział korespondentom, iż walki wokół bazy „Lolo” były niezwykle ciężkie. Przyznał też, że żołnierze południowietnamscy, pragnąc ratować życie, czepiali się podwozia amerykańskich helikopterów.

General wyznał, że morale sajsjońskich żołnierzy jest obecnie nader niskie, a widok mnóstwa ciężko rannych, którzy będąc w agonii, czekają na swoją kolejkę do śmigłowca, działa bardzo przygnębiająco.

Nieprzyzwoity temat

„STERN” — HAMBURG

Simona Eikmeyer jest dzieckiem „getta”. Mieszka w tzw. obozie społecznym na przedmieściu Kilonii, w dawnych podziemnych składach amunicji, wybudowanych jeszcze w okresie pierwszej wojny światowej, a teraz przemienionych na mieszkania dla biedoty. Na każdego ze 110 ludzi przypada tutaj mniej powierzchni mieszkalnej, niż w Heesji przypada na psa.

47 osób dorosłych i 63 dzieci, w sumie 19 rodzin, żyjących tutaj, stanowi część owej 500-tysięcznej armii bezdomnych, która aktualnie vegetuje w Republice Federalnej. Są to ci ludzie, na których społeczeństwo wydało bezapelacyjny wyrok, określając ich jako „element społeczny”, chociaż w rzeczy samej, to właśnie zachodniemieckie społeczeństwo postępuje apoplezycznie.

Podziemne składy amunicji nie są jedynym „gettem” Kilonii. W odległości pół kilometra od miasta znajduje się obóz, zabudowany drewnianymi barakami z lat trzydziestych. W 1967 r. zapadła decyzja o zlikwidowaniu tego obozu, ale wkrótce znów go uruchomiono, ponieważ — wskutek budowy nowego mostu — zaszła konieczność zlikwidowania innego podobnego obozu.

Przeprowadzona niedawno ankieta wśród ludności Ki-

lonii wykazała, że w wilgotnych lochach i barakach mieszkają ludzie, którzy z różnych powodów pozostali bez dachu nad głową. Najczęściej dlatego, że zostali zwolnieni z pracy, że nie mogą jej znaleźć, że zostali eksmitowani ze starych domów, które będą zburzone, aby na ich miejscu wznosić komfortowe hotele.

Dostali się do baraków dlatego, że „nie dorosli materialnie” do poziomu dobrobytu współczesnego społeczeństwa. Nie są winni swojej nędzy, chcieliby się wyrwać z tego piekła, ale nie mogą.

60 procent mieszkańców tej ubogiej dzielnicy miasta stanowią dzieci. Dyrektor miejscowej szkoły mówi: „Dzieci getta” już od najmłodszych lat doświadczają na sobie że nie mają takich samych praw, jak inne dzieci, osuwają się z myślą, że są wyrzutkami społeczeństwa.”

W społeczeństwie dobrobytu nie lubi się mówić o tych dzieciach. Temat ten uważa się wręcz za nieprzyzwoity. Tymczasem wydatki na budownictwo socjalne i likwidację dzielnic nędzy są nieproporcjonalnie małe, chociaż mówi się nieustannie, wszem i wobec, o wzroście dobrobytu. Podobnie zresztą jest nie tylko w Kilonii, lecz również i w innych miastach Republiki Federalnej.

Ogromne straty

„MORNING STAR” — LONDYN

Dowództwo sajsjońskie poinformowało, że w ciągu tygodnia zginęło 773 żołnierzy i oficerów. Jednakże dziś wie już cały świat, że straty te są znacznie większe. Przedstawiciel Narodowego Frontu Wyzwolenia Południowego Wietnamu w Paryżu podał do wiadomości, iż straty przeciwnika wynoszą ok. dziesięć tysięcy zabitych i że zniszczono 450 samolotów i śmigłowców.

Jak przyznało niedawno dowództwo wojsk sajsjońskich, w walkach o bazę „Lolo” zginęło więcej żołnierzy, niż w jakiegokolwiek innej bitwie w okresie obecnej operacji laotańskiej. Agencja Patet Lao podała, iż w walkach o tę bazę, I Pułk i Dywizji sajsjońskiej, uważany za wyborowy, został doszczętnie zniszczony.

Pesymizm kompanii naftowych

„BUSINESS WEEK” — NOWY JORK

Właściciele międzynarodowych kompanii naftowych, które wydobywają co 24 godziny 16 milionów barreli (barrel równa się 159 litr. — red.) nafty na Bliskim Wschodzie i w Północnej Afryce, nie kryją swego pesymizmu. Każdy kryzys na Bliskim Wschodzie, na przetrzeźni ostatnich 25 lat, sprzyjał umocnieniu pozycji arabskich nacjonalistów. To z kolei powodowało za każdym razem zwiększenie presji krajów arabskich na kompanie naftowe.

Od czasu kryzysu sueskiego w 1956 roku, międzynarodowe kompanie naftowe robiły starania, aby zabezpieczyć się od ewentualnych następstw wybuchu konfliktu na Bliskim Wschodzie, podejmując poszukiwania nowych złóż naftowych w innych rejonach świata. W wyniku tych starań wykryto bogate rezerwy naftowe w Nigerii. Przewidywało się również szeroko zakrojone prace wiertnicze w Indonezji. Złóża ropy naftowej w krajach Zachodniej Afryki i w Australii powinny już dawać (w końcu 1970 roku) około 500 tysięcy barreli nafty na dobę. Amerykańskie kompanie zamierzają także szukać złóż nafty na Alasce i na Morzu Północnym, niedaleko brzegów Anglii.

Jednakże zapotrzebowanie na naftę rośnie tak szybko, iż większość międzynarodowych kompanii, a także ich klienci w Europie i w Japonii są uzależnieni od nafty z Bliskiego Wschodu. Same Stany Zjednoczone zużywają zaledwie trzy procent nafty bliskowschodniej. Ale wojska amerykańskie, stacjonujące w Europie i na Dalekim Wschodzie są całkowicie uzależnione od naft-

ty bliskowschodniej i północnoafrykańskiej.

Poza tym, płynące do USA dochody kompanii amerykańskich, które przynosi im zbyt nafty z Bliskiego Wschodu, w wysokości ponad miliarda dolarów rocznie, w dużym stopniu stabilizują chwiejny bilans płatniczy USA.

Na Bliskim Wschodzie i w arabskich krajach Północnej Afryki postawiono na jedną kartę nie tylko inwestycje kompanii naftowych, lecz również strategiczne interesy USA i ich sojuszników. Zahamowanie dostaw naftowych z tych rejonów świata na dłuższy czas spowoduje duży spadek produkcji przemysłowej w Japonii i Zachodniej Europie.

Nowy kryzys na Bliskim Wschodzie może wywołać represje krajów arabskich wobec kompanii naftowych, od nacjonalizacji do embargo na dostawy nafty włącznie.

Jednakże właściciele kompanii naftowych są zaniepokojeni przede wszystkim tym, iż rządy krajów arabskich nie przestają żądać zwiększenia ich udziału w dochodach od eksploatacji nafty.

W 1969 roku, kraje bliskowschodnie otrzymały od kompanii, z tytułu dobrowolnych potrąceń od zbytu nafty — 3,7 miliarda dolarów. W roku 1957 potrącenia te wynosiły ogółem 1,1 miliarda dolarów. Tłumaczy się to po części zwiększonym wydobyciem nafty, a po części tym, iż krajom arabskim udało się zwiększyć należny im procent od każdego dolara, który otrzymują międzynarodowe kompanie ze sprzedaży bliskowschodniej nafty.

Teatry „spoza Broadwayu”

„NEW YORK TIMES” — NOWY JORK

Finansowe położenie teatru nowojorskiego pogarsza się z dnia na dzień. Przyszłość nie rokuję nadziei na lepsze.

Każdy zdrowo myślący człowiek teatru wie, jak niebezpiecznie jest wiązać się z teatrami Broadwayu. Amatorzy finansowania spektakli teatralnych powinni poznać wszystkie niebezpieczeństwa wystawiania przedstawień „poza przemysłem rozrywkowym Broadwayu”. Rzecz jednak i w tym, że dziś również i scena „czysto broadwayowska” staje się coraz mniej żywotna.

Kiedy w przeszłości, która teraz wydaje się tak bardzo odległa, próbowano wystawiać sztuki „poza Broadwayem” i kiedy początkowo osiągały one znaczne sukcesy, wydawało się, że ten nowy ruch teatralny ma przed sobą ogromną przyszłość. Przypuszczano też, że owe teatry „spoza Broadwayu” stworzą aktorom możliwość ujawnienia się, „pokazania się” przedsiębiorcom teatralnym, krytykom i innym „arystokratom” świata teatralnego. Przedstawienia „poza Broadwayem” powinny się zatem stać niejako „przeglądem” talentów.

Wkrótce ów „przegląd” stał się dla wielu ludzi sceny źródłem egzystencji. Aktorzy zaczęli zarabiac na życie. A raczej — zaczęli próbować zarabiac na życie. Jednakże koszty spektakli gwałtownie wzrosły, właściciele lokalni teatralnych każdego dnia podwyższali opłaty za wynajem. I tak oto inicjatywa, która, m.in., miała na celu dążenie do utrzymania na dobrym poziomie naszej dramaturgii, przekształciła się w „mini-Broadway” z jego mnóstwem mankamentów i paroma przywilejami.

Ceny za bilety wzrosły tak dalece, że mało ustępują cenom na Broadwayu, a małe sale teatralne oraz fakt,

że tylko niektóre przedstawienia idą przy wypełnionej widowni, spowodowały, iż większość teatrów zarabia grosze.

Ich przyszłość trudno na razie przewidzieć. Pesymiści przepowiadają zamknięcie wszystkich teatrów z widownią mniejszą niż 200 osób, jako nierentownych. Bardziej rozsądni mówią, że na komedie muzyczne nadszedł kres i że będzie się dążyć do wystawiania sztuk z dwiema — trzema osobami, nie zmieniając dekoracji.

Być może, iż te przewidywania są zbyt czarne, ale jedno nie ulega wątpliwości — nastają ciężkie czasy. O środki na spektakle będzie coraz trudniej i w miarę tego, jak trudności te będą rosły, teatry te pójdą najprawdopodobniej po przetrzanej drodze broadwayowskich przedstawień. Oznacza to lek przed jakimkolwiek eksperymentem, pogoń za „gwiazdami”, panoszenie się lekkich, rozrywkowych komedii. Poważnym reżyserem coraz bardziej zniżają się szanse dostępu do widza, a dobrych reżyserów jest dziś i tak już niewiele.

Oczywiście istnieją jeszcze zespoły teatralne, niezależne od Broadwayu i spoza jego kręgu. Ale jest to pewnego rodzaju teatr amatorski, w którym nie placą ani aktorom, ani w ogóle komukolwiek.

To „samosubsydiowanie” aktorów jest nie do przyjęcia w cywilizowanym świecie.

Jedyną możliwością rozwiązania tego problemu teatru nowojorskiego są subsydia — państwowe lub prywatne. W naszych czasach zarówno dramata, jak i inne formy sztuki scenicznej są przedsięwzięciem deficytowym. Należy im pomagać nieczym głodującemu, słabo rozwiniętemu krajowi. I właściwie, na dobrą sprawę, nie są one niczym innym.

Zawszqd o wszystkim

Listy
DO
REDAKCJI

Szanowna Redakcjo!

Z prawdziwą przyjemnością śledzę akcję nowego Konserwatora Zabytków m. Łodzi mgr A. Szramy, który, w oparciu o badania zespołu historyków sztuki i architektów, przeprowadza nową klasyfikację zabytków na terenie naszego miasta, włączając do niej również bardziej interesujące obiekty z okresów tzw. „eklektyzmu” i secesji. I dobrze się stało, że w ramach tej akcji został uznany za zabytek monumentalny budynek PKO przy al. Kościuszki 19, będący prawdziwą ozdobą tej reprezentacyjnej arterii i tworzący wspólnie z położonym naprzeciw budynkiem NBP charakterystyczny akcent wielkomięski.

Kto jednak wydał zezwolenie na umieszczenie na wspomnianym budynku dwóch ogromnych tablic reklamowych w miejsce dawnych dość dyskretnych re-

klam neonowych? Zespicono w ten sposób obelęwicę, od strony al. Kościuszki i od 22 Lipca. Nie jest to jednak wypadek osobnoiony, ponieważ w podobny a może nawet jeszcze bardziej brutalny sposób zesześcił „Eldom” bogatą elewację secesyjną przy al. Kościuszki 29. Najbardziej jednak wołająca o pomstę, jeżeli nie do nieba, to do Wydziału Budown. Urban. i Architekt. Prezydium RN m. Łodzi jest świetna reklama umieszczona przez Bibliotekę Publiczną na wyjątkowo interesującej elewacji kamienicy przy ul. Sienkiewicza 63, związanej silnie z dziejami Łodzi.

Szanowna ta instytucja, pozostająca pod patronatem Wydziału Kultury, nie tylko zesześciła piękną elewację, ale w wielu miejscach uszkodziła wystrój sztukaterii przy przeprowadzaniu kabli elektrycznych. Dlatego Konserwator Zabytków, niezależnie od akcji uznawania za zabytek, winien równolegle żądać przedkładania do wglądu i akceptacji projektów reklam, by w przyszłości uniknąć podobnych wypadków. Nie jestem tylko pewny czy na terenie naszego miasta, ktoś w ogóle zatwierdza projekty reklam, bo przytoczone fakty świadczyłyby o czymś przeciwnym.

MGR ZB. CIEKLIŃSKI

Dalszy ciąg ze str. 1

Ja Steinerta według projektu architekta Stanisława Balińskiego, a więc budowla o charakterze zabytkowym. Argumenty moje zostały uwzględnione, przedstawiciele przemysłu musieli zrezygnować z rozbiórki. Otrzymałam zapewnienie, że kamienica nie zostanie rozebrana. Ale w jakiś rok później już bez uprzedzenia dom dokładnie wyburzono, zmierzono z powierzchni ziemi. A sprawa pawilonów typu „Magda”, którymi zaśmiecono Piotrkowską? A sprawa podcieni, które nie usprawniają ruchu, na zawsze jednak pozostawiają nas elementów historycznych w wielu, wcale niebrzydkiach budynkach? Piotrkowskiej trzeba bronić.

WACŁAW KONDEK: Zaczęło się od tego, że praca pani profesor Rynkowskiej jest rzetelna, ale pisana chyba głównie z myślą o specjalistach i przeciętny czytelnik, nawet zwolennik Piotrkowskiej, może niekiedy nie doczytać jej do końca. To jest zresztą jedyny zarzut, jaki mógłbym postawić książce: aparatura naukowa sprawia, że w moim odczuciu pozycja ta za mało działa na wyobraźnię. Mogę się mylić, bo plastyk zawsze ma specyficzne, zawodowe widzenie. Raz wszakże poruszony byłem naprawdę, wychytawszy, że w początkowym okresie swego istnienia Piotrkowska była dosłownie zawałona wiatrakami. I natychmiast obudził się we mnie niepokój: czyżby Łódź od początku była miastem Don Kichotów? I czy nasze starania o zachowanie Piotrkowskiej w jej zabytkowym kształcie nie będą walką z wiatrakami? Myślę tu sobie o losie kamienic, które są bardzo wiekowe, ale partery mają najczęściej zdewastowane, czyli zmodernizowane.

ANTONI SZRAM: Nie mogę się tu zgodzić z panem Kondkiem, bo dzięki książce profesor Rynkowskiej otrzymaliśmy niesłychanie cenne argumenty, co na Piotrkowskiej powinniśmy zachować w stanie nienaruszonym. Pomoże nam także w zdecydowaniu, co powinniśmy spopularyzować w albumach i popularnych publikacjach. Takich publikacji naukowych, opartych o źródła do tej pory nie było, bo badacze jakby bali się wieku dziewiętnastego. I przyznam się, książka profesor Rynkowskiej pojawiła się w samą porę, na pięć przed dwunastą, kiedy rozważana jest kwestia tzw. stref ochronnych; zweryfikuje ona dotąd podjęte wcześniejsze decyzje. Jako konserwator mogę stwierdzić, że brakowało nam bardzo naukowego opracowania na temat Piotrkowskiej, jak zresztą i innych rejonów miasta, penetracja zasobów dziewiętnastowiecznych nie została przeprowadzona do końca i często brak po prostu materiałów do decyzji o losie za-

bytków miasta. Przygotowany jest raport urbanistyczno-architektoniczny na ten temat. Mogę także poinformować, że w wyniku publikacji profesor Rynkowskiej dokonano szeregu korekt.

Problem jest zresztą szerszy. Łódź jest kapitalnym obiektem badawczym dla naukowca, który zechce zainteresować się wiekiem XIX. Nie możemy o tym zapominać nawet wówczas, gdy koncentrujemy swoją uwagę na ulicy Piotrkowskiej. Wracając zaś do tej ulicy... Ponieważ niektóre obiekty z zakresu architektury przemysłowej są porzucane po całym mieście, Piotrkowska zaś ma dość jednolity kolorystyczny architektoniczny, zdecydowaliśmy, że na odcinku od placu Wolności do Głównej w całości podlegać będzie ochronie. Służba architektoniczna analizuje po kolei każdy obiekt. W wyniku tej analizy wszyscy doszli do wniosku, że nie można zdecydować pochopnie, jeśli chodzi o rekonstrukcję Piotrkowskiej. Trwają prace studialne, których celem jest wytyczenie stref ochronnych włączając w to także częściowo oficyny, nie tylko fronty budynków na ulicy Piotrkowskiej.

JANUSZ MACKIEWICZ: Książka profesor Rynkowskiej jest wręcz niezbędna, bo dotychczas Piotrkowską zajmowano się spontanicznie, a taka polityka przyniosła tylko nieporozumienia. Świadczy o tym najlepiej fakt, że w stosunku do tej ulicy nie wypracowano przez długie lata założeń, które określiłyby jej rolę i miejsce w nowo powstającym centrum. Dopiero nowy ogólny plan zagospodarowania przestrzennego Łodzi traktuje Piotrkowską jako jeden z rejonów centrum, obok rejonu ulicy Głównej, Traugutta, placu Wolności. Faktycznym centrum usługowo-handlowym była jednak Piotrkowska zawsze i moim zdaniem rola jej nie tylko nie zmaleje, ale będzie wzrastać. To zobowiązuje nas do właściwego jej kształtowania pod względem architektonicznym, a także programowania usług poprzez wnoszenie nowych wartości tak funkcjonalnych, jak i estetycznych.

Brak założeń w stosunku do tej ulicy sprawił, że wiele zabytkowych elementów uległo zagładzie i dewastacji. W ubiegłym dziesięcioleciu działo się przecież na Piotrkowskiej wiele: przeżyliśmy modernizację sklepów i malowanie fasad. Tylko to ostatnie posunięcie było uzasadnione, ponieważ pozwoliło na zachowanie elementów detalu architektonicznego, który dotrwał do naszych czasów. Piotrkowska musi być konserwowana, bo w przeciwnym razie ulegnie dalszemu zniszczeniu, zanim jeszcze powstaną nowe centra usługowo-handlowe w Śródmieściu.

Moda na mówienie o Piotrkowskiej nie jest nowa, ale jest nieco spóźniona. Ulicę dostrzeżono bowiem wtedy, gdy już ją zaczęto



Fot. R. Taszakowski

PIOTRKOWSKA

niszczyć. Bo każda przebudowa sklepu wytrąca elementy historyczne. Przez długie lata podejmowano decyzje bez udziału konserwatora, a już na pewno bez udziału literatury fachowej, bo o Piotrkowskiej spontanicznie pisano i spontanicznie robiono modernizacje sklepów. Można podać jako rażący przykład takiej partyzantki bezsensowne przebudowy „Grand-Hotelu”, czy „Orbisu”. Decydowały paradoksalne mechanizmy. „Grand-Hotel” zniszczono dlatego, że przez Łódź przejeżdżał Wyścig Pokoju, reprezentacyjny hotel wydał się komuś za mało nowoczesny; przebudowy dokonano zupełnie samowolnie, bez zezwolenia dzielnicowego architekta.

ROMAN LOBODA: Niechże w tej dyskusji specjalistów ma swoje słowo także pisarz. Zgłaszam solidarność i emocjonalne zaangażowanie w dzieło zachowania piękna ulicy Piotrkowskiej. Z przyjemnością wysłuchałem tu głosów świadczących o tym, że wreszcie przestaliśmy myśleć o tej reprezentacyjnej ulicy miasta jako o czymś „brzydkim”, bo jeszcze kilkanaście a nawet kilka lat temu wszyscy przyjeżdżający do Łodzi mówili: „Jakie to miasto brzydkie”. A na pytanie: „Co jest ta-

kiego brzydkiego?” — padała odpowiedź: „Piotrkowska”. Szczęśliwie się więc stało, że Piotrkowska, jej uroda, została odkryta przez samych Łódzian.

Wdzięczny jestem profesor Rynkowskiej, że swoją książką uszeregowwała nasze odczucia i podparła je rzeczową argumentacją. Tym bardziej, że aktualnie na Piotrkowskiej nie jest najlepiej. Można wskazać przykłady żywiołowych, bezmyślnych, niszczycielskich działań. I dobrze, że zjawiskom tym będzie się wreszcie przeciwdziałać, do czego potrzebny jest sojusz wszystkich ludzi dobrej woli: architektów, historyków sztuki, konserwatorów. I społeczeństwa. Obawiam się tylko, czy urbanisci nie wniosą zamieszania do tego sojuszu, bo ich wysiłki będą szły w tym kierunku, żeby zapewnić miastu maksimum możliwości ruchowych, przystosować je do nowoczesnych wymogów komunikacyjnych, mieszkaniowych itp. A więc będą zwolennikami modernizowania Piotrkowskiej.

Tymczasem dla mnie cała Piotrkowska jest zabytkowa i powinna podlegać ochronie na całej swojej długości. Modernizacje mogą doprowadzić do powstania dziwnej kakofonii, poprzez modernizację Piotrkowska może stracić urodę.

Chodzi o to, aby Piotrkowską zachować jako enklawę secesji, bo piękno secesji jest modne, procentuje, secesja została nobilitowana.

WACŁAW KONDEK: Pan powiedział: secesja jest modna. Ale to dlatego, że została spopularyzowana przez profesora Wallisa, który napisał na ten temat książkę. Ja osobiście jestem przekonany, że tzw. eklektyzm, który zaczęło już dostrzegać, a niekiedy doceniać, zostanie także zrehabilitowany podobnie jak secesja. To także szansa dla Piotrkowskiej.

ROMAN LOBODA: To bardzo prawdopodobne. Wracając do tematu: sojusz między architektem, a przede wszystkim konserwatorem i historykiem jest niesłychanie cenny, natomiast obawiam się, że urbanista może mieć inne poglądy na ten temat.

JANUSZ MACKIEWICZ: Obecnie otrzymaliśmy potężną broń. Dzięki wysiłkom nowego konserwatora, magistrza Szrama, Piotrkowska została uznana za zespół zabytkowy. Na pewno kilka budynków trzeba będzie jeszcze rozebrać, ale w porozumieniu z urzędem konserwatorskim i będą to budowle o niewielkim znaczeniu zabytkowym, choć i w tym wypadku pożądana jest szczególna ostrożność. Toteż obecnie bardzo starannie przygotowuje się opracowanie pod nazwą „Plan modernizacji i rekonstrukcji ulicy Piotrkowskiej”, który najprawdopodobniej w najbliższym czasie zostanie zatwierdzony. Plan ten obejmuje pełną rekonstrukcję najwartościowszych budynków zabytkowych wytypowanych przez urząd konserwatorski. Rekonstrukcja dotyczy zarówno elewacji jak i wnętrza w układzie historycznym. Reszta budynków modernizowanych poddana zostanie rekonstrukcji powyżej parteru. Trzeba przy tym pamiętać, że czasem nawet przywrócenie koloru elewacji jest rekonstrukcją.

W przyszłości Piotrkowska na pewno będzie tylko pasażem usługowo-handlowym, wyeliminuje się ruch kołowy, dostawy towarów będą dokonywane od zaplecza, wyburzy się część oficyn i rozjaśni podwórka. Będziemy dążyć poprzez modernizację do uzyskania układów przestrzennych mieszkań o dużych walorach użytkowych. Przy zachowaniu i uszanowaniu zasadniczego historycznego układu urbanistycznego stworzymy mieszkańcom warunki zapewniające właściwe naświetlenie i dostęp do terenów rekreacji. Będziemy też dążyć do powiązania Piotrkowskiej z nowo ukształtowanymi zespołami centrum w rejonie: Kilińskiego, Sienkiewicza i Głównej.

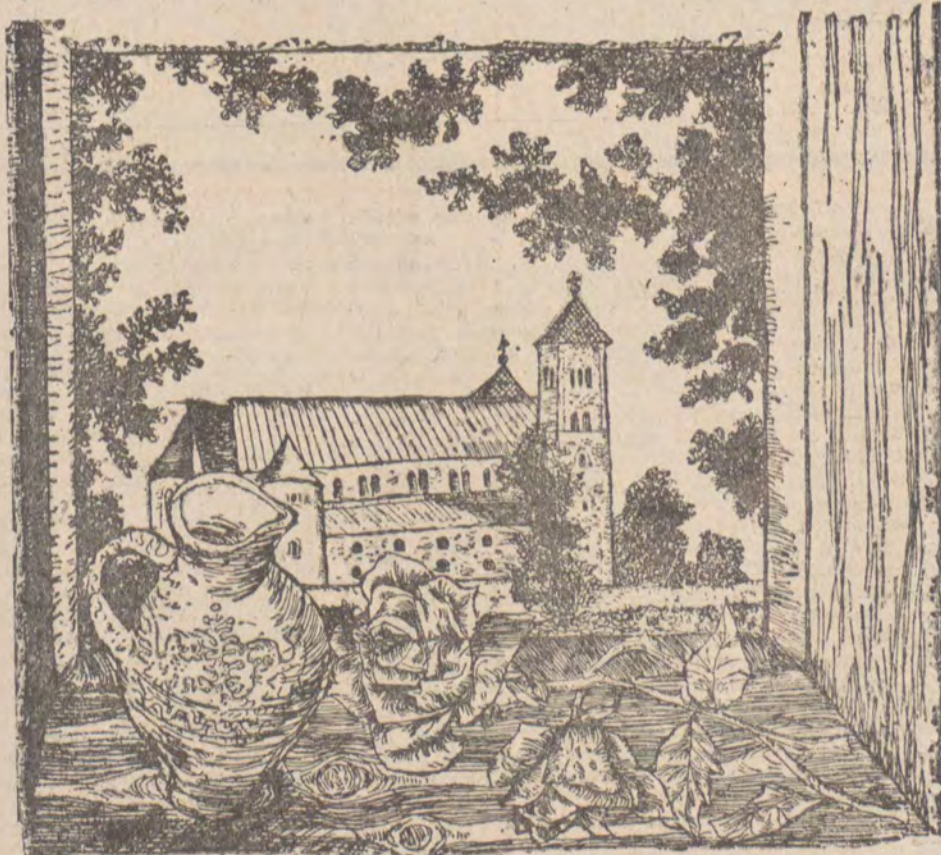
Kończąc już: Piotrkowską, ścisłej jej urodę, odkryli plastycy, duże zasługi ma obecny tu pan

Dalszy ciąg na str. 8

Ziemia Łódzka w grafice

Nowy konkurs

Ziemia Łódzka w grafice



Prezentujemy naszym Czytelnikom nowy konkurs. W kilku najbliższych numerach „Odgłosów” reprodukowaliśmy prace graficzne łódzkich artystów, dotyczące konkretnych miejscowości Ziemi Łódzkiej. Zadaniem Czytelników będzie odgadnięcie o jaką miejscowość chodzi. Odpowiedzi prosimy nadsyłać wyłącznie na kartach pocztowych na adres: **ŁÓDŹ, PIOTRKOWSKA 96, „ODGŁOSY” — ZIEMIA ŁÓDZKA W GRAFICE.**

Zasady uczestniczenia w konkursie takie same jak w poprzednich. Można nadesłać odpowiedź tylko na jedno zadanie konkursowe, można uczestniczyć w konkursie systematycznie — zwiększając tym samym swoje szanse w losowaniu nagród. Na uczestników bowiem czekają nagrody w postaci bonów towarowych:

- I nagroda — 1.500 zł
- II nagroda — 1.000 zł
- III nagroda — 500 zł

ZADANIE KONKURSOWE NR 3

W pobliskiej wsi Tum znajduje się kolegiata romańska z XII wieku. Samo miasto zresztą też w początkach tego tysiąclecia znajdowało się na terenie obecnej wsi Tum. Dziś jest to zaledwie stolica powiatu, ale kiedyś... Miasto to było miejscem zjazdów państwowych i synodów kościelnych. W wieku XIII miasto było stolicą księstwa, potem stolicą województwa. Dziś eksponuje się tu rudy żelaza.

Jakie to miasto, którego romańską kolegiatę uwieczniła w swej grafice **KRYSTYNA LIBERSKA?**

Ich przygoda trwała pełne sześć lat. Zaczęła się w Jeleniej Górze a skończyła w Pabianicach. Wyruszyły obie pewnego pięknego dnia z domu i poszły w Polskę. Polska okazała się dla nich krajem wielkim i gościnnym. Córka przerwała naukę w

czę zarobkową. Matka z córką udowodniły jednak, że można żyć bez pracy, bez dachu nad głową, ba, nawet bez dowodu osobistego. Jedynym dokumentem, jakim się posługiwały, była legitymacja honorowego krwiodawcy. Nigdzie również nie

swo znajomości, szczególnie w czasie nieustannej podróży.

Stanisława W., Pabianice: „Spotkałam je w aptece, prosiły o nocleg. Twierdziły, że już osiem kobiet im odmówiło, a jest ciemno, przyjechały z Wrocławia na grób

Władysław R., Pabianice: „Przyprowadziła je do domu moja matka, z prośbą, abym je przenocowałam. Miały pobyt tylko trzy dni, były cały tydzień. Odchodząc zabrały buty mojej żonie i parasolkę. Po jakimś czasie spotkałam je znowu i znowu pro-

domu, mieszkanie było zamknięte, a po nich ani śladu. Zabrały z sobą nawet klucz i musiałam wylać drzwi. Obie przed opuszczeniem pokoju załatwiły się do siołków. Zabrały z sobą na drogę moje 4.000 złotych. Jeszcze sąsiadka miała do

dnia zmyły się i nie zapłaciły. Po trzech tygodniach otrzymałam list z wulgarnymi słowami pod swoim adresem”.

Litanie ich oszustw można by odmawiać jak stara różaniec. Przed Sądem Powiatowym w Pabianicach skompletowano zaledwie czterdzieści zarzutów, część osób bowiem w ogóle się nie zgłosiła, sporo zarzutów anulowała amnestia, parę osób w tym czasie zmarło, gdyż oszustki grasowały szczególnie wśród rencistek. Zerując na ich litości, same nie znaly tego uczucia. Działy w kręgu ludzi prostych, szczerych, uczciwych i prostolinijnych aż do granic naiwności. Wpadły według klasycznej zasady, mówiącej o przestępcach wracających zawsze na miejsce przestępstwa. Ktoś rozpoznał je w ubiegłym roku na cmentarzu w Pabianicach, dał znać milicji, zostały aresztowane i stanęły przed sądem. Na rozprawie jedna druga obwiniała. Najpodlej zachowały się wobec pewnej staruszki z Wielunia, której ukradły 6.000 złotych. Pieniądze te dał staruszcze na przechowanie sąsiad, musiała je potem zwrócić. Cały rok pracowała w tym celu u różnych gospodarzy. Staruszka liczy sobie ponad 70 lat.

I tak oto za włóczęgostwo i cygański „romantyczny” wczasowo-kuracyjny tryb życia obu kobiet musiały płacić przewaźnie najbiedniejsze rencistki. Starsza skazana została przez sąd na pięć lat więzienia, córka na trzy i pół roku.

Do Sądu Powiatowego w Pabianicach nadszedł niedawno z więzienia list córki, którego tragiczną wyprawę pozostawiam bez komentarza:

„Tryb życia, jaki dotychczas prowadziłam, z jednej strony obciąża mnie, z drugiej zaś stanowi moją obronę — nie miałam właściwie domu, całe życie spędzałam na wędrowkach. Chciałabym jak najszybciej wyjść stąd i stworzyć sobie normalne warunki życia, normalny dom”.

KAROL BADZIAK

Dwie kobiety

Z pekińczykiem



Fot. J. Styczyński

czwartej klasie szkoły podstawowej i dalej już miały ją kształcić tylko podróże. Zabrała z sobą na drogę małą mapkę, wyciętą z kalendarzyka Orbisu, na której zaznaczała zaliczone na szlaku miejscowości. Dosłownie i w przenośni stawiała na nich krzyżyk. Były to przeważnie miejscowości wczasowe, kuracyjne, choć zdarzały się od tej reguły i wyjątki. Towarzyszył obu niewiastom początkowo pies Puzek, później Kubuś, a na końcu Lalek — zawsze pekińczyk. Kiedy je zatrzymano w Pabianicach — zresztą ku ich wielkiemu zaskoczeniu — do dyspozycji prokuratury, nie miały przy sobie już żadnego pieska. Te delikatne zwierzęta widocznie gorzej znosiły trudy podróży niż ich właścicielki. Przypnać trzeba, że właścicielki się zbytnio nie przejmowały, cały ich bagaż mieścił się w podręcznej siatce na zakupy. Problem ubioru wyjaśnili przed sądem w sposób następujący: „Odzież zimową kupowałyśmy na zimę, a po skończonej zimie sprzedawałyśmy. Nowe rzeczy znowu kupowałyśmy na lato”.

Rozwiązanie, jak widzimy, proste i racjonalne, a w dodatku higieniczne. Sprawa się dopiero komplikuje, gdy zapytamy, skąd brały na to pieniądze. Przecież spacerując po naszym pięknym kraju i wypoczywając tu i ówdzie nie miały czasu na pra-

biły zameldowane, albowiem po trzech latach obecności w Jeleniej Górze w ich aktach odnotowano: „Wyprowadziły się w nieznanym kierunku”.

Prawdziwym miejscem, jakie wybrały sobie na stałe, był margines społeczny. Okrutnie zadrwiły sobie z nas wszystkich, którzy pracujemy, oszczędzamy, kupujemy lodówki i pralki, krzątamy się wokół domowego ogniska. Zdecydowały się na to, na co bardzo wielu spośród nas decyduje się w chwilach krótkotrwałej słabości, lecz tego nie realizuje. Ucieczka do nikąd to marzenie wielu ludzi. W Ameryce bodajże prawie milion mężczyzn rzucił dom, pracę i rodzinę, i idzie w Amerykę. Małżonki wysyłają wtedy za nimi dekrety. Nawrót do życia koczowniczego da się wytłumaczyć atawizmem. Ale normalni zjadacze chleba tego rodzaju tęsknoty załatwiają za pośrednictwem biur podróży.

Nasze bohaterki wypadły z gry, zwanej normalnym życiem, więc tym samym znalazły się poza nawiasem, gdzie podstawową zasadą jest brak wszelkich zasad. Opowiem, jak im się żyło za tym „nawiasem”, jak sobie poczynały. A może jeszcze lepiej będzie, jeśli opowiem o tym ludzi, którzy mieli sposobność zetknąć się z tymi paniami na szlaku ich wędrowek. Osób tych jest sporo, sześć lat to szmat czasu, można nawiązać mnó-

matki i nie mają się gdzie podziąć. Złotowałam się, nocowałam u mnie przez osiem dni. Chodziliśmy codziennie razem na cmentarz. Miały z sobą dwa psy: Puzka i Kubusia. Kobiety z psami budzą zaufanie. Starsza, Helena, zapewniała mnie, że pracuje w szpitalu i przyśle mi leki. Młodsza, jej córka, miała na imię Barbara. Po ich wyjeździe zauważyłam brak 5.250 zł. Zaznaczam, że jestem rencistką i co miesiąc odkładałam sobie po 200 złotych na czarną godzinę”.

Eugenia K., Pabianice: „Podeszły do mnie na cmentarzu. Przyjęłam je na nocleg. Przed snem matka gorąco modliła się z różańca. Ja spałam na podłodze, one na moim łóżku. Skradły mi 850 złotych. Nie zawiadamiłam o tym milicji, gdyż zda- wałam sobie sprawę, że nie wolno nocować prywatnych osób i bałam się”.

Maria J., Duszniki: „Zjawiły się u mnie przed świętami Bożego Narodzenia i poprosiły o nocleg. Mieszkały cały tydzień. Nie pytały mnie, ile mają płacić, a ja z kolei wstydziałam się zapytać o pieniądze. Gdy w końcu się na to zdecydowałam, już było za późno, wyszły i tyle je widziałam”.

Maria K., Duszniki: „Przysłała do mnie znajoma i prosiła, żebym przenocowała dwie fajne babki. Zgodziłam się. Odstąpiłam im swój pokój. Mieszkały tydzień i zniknęły”.

sily o nocleg. Zgodziłem się. Nie mam do nich pretensji”.

Stanisława W., Pabianice: „Sziałam ulicą, gdy mnie zatrzymały i poprosiły o nocleg. Miały z sobą pieska, a ja psy bardzo lubię i przenocowałam je. Rano wyszłam do pracy, a gdy wróciłam już ich nie było i razem z nimi zniknął zegarek, dwie chusteczki, pół kilograma „ptasiego mleczka”, marynarka oraz książka „Znachor”.

Władysław B., Pabianice: „Siedziałem kiedyś do pracy, zaczepiły mnie na ulicy, starsza powiedziała, że mnie zna, a nie zna mojej żony i dzieci i chciałyby się zapoznać. Podobno jesteśmy jakimiś kuzynami, lecz jaka to rodzina — nie wiem. Zaprosiłem je do mieszkania, zrobiłem kolację, przenocowałem. Kiedy na drugi dzień wróciłem z pracy do domu, żona mówi: Ale cię te twoje kuzynki wyrzytowały. Okazało się, że wychodząc zabrały ze sobą 400 złotych. Milicji nie meldowałem, bo się wstydziałem, że się tak dałem nabrać”.

Janina K., Szczawienko: „Przyprowadziła je do mnie sąsiadka. Powiedziała, że młodsza studiuje na Politechnice Łódzkiej i matka przyjechała z nią na wypoczynek. Starsza okazała jakąś legitymację, że pracuje w szpitalu. O pieniądze nie pytałam, miał po nie przyjechać mąż, dyrektor. Jak wróciłam pewnego razu do

mnie pretensje, gdyż przez cały czas brały od niej mleko, mówiąc, że jestem ich kuzynką i zapłacę”.

Zofia S., Sulejów: „Kiedy przyszły wynajmując mieszkanie, mówiły, że córka jest studentką, a matka labo- rantką. Wstydziałam się legitymować, bo były elegancko ubrane. Matka codziennie modliła się, więc pomyślałam, że jeśli ona taka religijna, to mi nic nie ukradnie. Niestety”.

Anna W., Łądek-Zdrój: „Przyszły z prośbą o wynajęcie pokoju. Po dziesięciu

W następnym numerze „ODGŁOSÓW”

- † TADEUSZ OLEJNIK — Ostatni list do matki
- † EUGENIUSZ AJNENKIEL — O autorze „Łodzianki” B. Lubicz-Zahorskim
- † ROMAN ŁOBODA „Delicji” ciąg dalszy oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna

WITOLD SŁOTWIŃSKI

Nauczyciele

i szkolnictwo

str. 4

Pówolana przez nowe władze centralne komisja ekspertów zbada stan nauki i oświaty w Polsce, wejrzy głębiej niż dotąd czyniono w sprawy ludzi, którzy nauce i oświacie służą. Nauczyciele od dawna na to czekali. Podobnie jak większość polskiej inteligencji nauczyciele nie tylko widzą, ale i czują puls życia wszystkich ludzi pracy, są bowiem wytworem i częścią całego narodu, a zwłaszcza klasy robotniczej i chłopstwa. Spora ich część — nie tylko zresztą tej grupy inteligencji — acz piórem i intelektem włada a nie młotem, jeszcze dziś nie pozbyła się odcisków na rękach, śladów wieloletniej pracy fizycznej. Czy „awansowali” przez przejście do nowej grupy społecznej? Pod jakim względem? Spełnili tylko swój obowiązek względem klasy, z której wyszli. Z całą pewnością zaś znaczna część inteligencji (nie mylić z gryziółkami) pochodzenia robotniczo-chłopskiego, w tym również nauczycielstwa, materialnie nic nie zyskała, a raczej straciła. Dziś nauka to nie przywilej, lecz poważny o-

bowiązek społeczny, z czego szkoda, że nie wszyscy zdają sobie sprawę...

Nie miejsce tu na przypominanie szczegółowe o tym, że nauczyciele w swej masie zawsze byli najsilniej związani z ludem i stanowili ważną część kadry przywódczej narodu, nigdy go nie zdradzili, a w najbardziej dramatycznych okresach naszych dziejów byli szczególnie prześladowani i tepieni jako element uważany za najbardziej niebezpieczny, jako nosiciele narodowego ducha polskości. Tymczasem nauczyciele polscy nie zawsze mieli dotychczas szczęście do mecenasów oświaty. Za rządów II Rzeczypospolitej — choć średnio zarabiali — rychło popadli w konflikt z władzą burżuazyjną, która zwłaszcza w latach trzydziestych, w związkach nauczycielstwa z Komunistyczną Partią Polski widziała poważne niebezpieczeństwo, obawiając się tego rozsądnika i idei demokratycznych i sprawiedliwości społecznej przeciw nie tylko w główkach dziecięcych... Nauczycieli poddawano więc różnorodnym formom terroru, takim jak choćby przymusowe prze-

nozenie do innych dzielnic Polski, dyscyplinarne zwolnienia z pracy za „komunistyczne i wywrotowe poglądy” itp. Rozwiązanie Związku Nauczycielstwa Polskiego było tylko jedną z form prześladowań.

W 1939 roku i po klęsce wrześniowej nauczyciele jakże często w mundurach żołnierzy i oficerów podzielili los całego narodu. W czasie okupacji hitlerowskiej tysiące spośród nich wzięło udział w ruchu oporu, kto mógł brał udział w tajnym nauczaniu. To też był wówczas front walki. Wierząc głęboko w rychłe zwycięstwo, narażając się na pewną śmierć, nie przestawali uczyć. Po wojnie zdziśnięta kadra nauczycielska, oplacana niemal symbolicznie, bo niekiedy raz na kilka miesięcy, znowu stanęła do pracy w wolnym kraju.

Można by wiele napisać o tym jak toczyły się dzieje naszego wojennego szkolnictwa.

Jest faktem bezspornym, że w Polsce Ludowej w dziedzinie oświaty dokonał się ogromny postęp. Nie sposób temu zaprzeczyć. Tylko

Dalszy ciąg ze str. 1

— coraz bardziej uciążliwe dla pojazdów i podróżnych.

A więc ciasna zabudowa miasta, wąskie ulice, bezwylotowe trasy i brak wykształconych ciągów komunikacyjnych między przedmieściami, w których rozwijają się nowe dzielnice mieszkaniowe. Ten układ sprawia, że mieszkańiec Chojen czy Dąbrowy, aby dostać się np. na Teofilów potrzebuje niemal tyle czasu, ile zajmuje przejazd pociągiem z Łodzi do Warszawy. A jest to czas stracony.

Te warunki obiektywne nie były nigdy dla nikogo tajemnicą i tak jak planowało się rozbudowę urbanistyczną, planować należało również budowę ciągów komunikacyjnych — wygodnych i nowoczesnych, łączących poszczególne dzielnice liniami autobusowymi. Lecz o tym zapomniano.

Niedawno ukazała się w prasie codziennej informacja o tym, że Łódź dokonała korzystnej transakcji, biorąc od Bielska 38 wozów tramwajowych a dając Bielsku za to 30 autobusów. Aczkolwiek wiadomość była podana w tonie optymistycznym obudziła wątpliwości w czytelnikach. Jak to, kiedy w całym kraju wymienia się stare środki komunikacji na nowoczesne, szybkie i sprawne, Łódź dokonuje zamiany hamującej jej drogę ku modernizacji komunikacji. Sytuacji, która doprowadziła do tego paradoksalnego „byznesu” trzeba poświęcić trochę więcej uwagi i cofnąć się nieco w przeszłość.

Jeszcze jednym, obiektywnym dopustem naszego miasta są tory tramwajowe o wąskim rozstawie szyn. Tej szerokości osi nie ma już prawie nigdzie i dlatego chorzowski Konstal, producent wagonów tramwajowych dla kraju, w 1963 roku zaprzestął produkcji takich wozów. W Łodzi badano w swoim czasie możliwość przerobienia torów na szerokie. Specjaliści z Instytutu Gospodarki Komunalnej stwierdzili, że przeprowadzenie tej, pochłaniającej miliardy złotych inwestycji, spowodowałoby zakłócenie ruchu miejskiego na przeciąg 15—20 lat. Torów nie oplaca się przerabiać, jedynym wyjściem jest likwidacja tramwajów w ogóle. A na to w tej chwili Łódź nie może sobie pozwolić. Ale Łódź nie zdołała zapewnić sobie znikąd dostawy wozów tramwajowych. I przez osiem lat nie otrzymała, ani jednego nowego wozu tramwajowego. Jaki jest tego efekt? Pozwolę zacytować sobie tu kilka danych liczbowych.

W 1963 roku tramwaje łódzkie przejechały ponad 41 milionów km i przewiozły 467 milionów pasażerów. Tabor tramwajowy składał się wówczas z 807 wagonów. W 1970 roku tramwaje łódzkie przejechały 54,400 tys. km i przewiozły 502,300 tys. pasażerów. A tabor wynosił już... 783 wozy.

Nic dziwnego, przy takiej eksploatacji wagony, z których wiele przekroczyło 50 rok życia, musiały być wycofane z obrotu. Tak więc, w sytuacji, gdy wzrosła liczba mieszkańców miasta, wydłużyły się linie tramwajowe, przedłużane do nowych dzielnic miasta, tabor zmniejszył się, nie wzbogacając się ani o jeden nowy wóz. O tym, że nie musiałoby tak być, że w końcu znalazło się rozwiązanie — nieco później. Na razie zajmijmy się innym środkiem komunikacji, tym nowoczesniejszym, bardziej sprawnym, szybszym: autobusami.

Tu sytuacja wygląda bardziej optymistycznie. Od 1963 roku, z chwilą, gdy Konstal przestał produkować wozy o wąskim rozstawie osi, Łódź zaczęła otrzymywać większe ilości autobusów. Oto, jak wyglądają liczby. W 1963 rok mieliśmy 111 autobusów, które przejechały trasę 4,5 mln km i przewiozły 33,5 miliona pasażerów. W 1970 roku dysponowaliśmy 334 autobusami, które przejechały 18,700 tysięcy km i przewiozły bez mała 95 milionów pasażerów. Ale to ciągle jeszcze mało, łódzkie autobusy nie przewożą nawet 20 procent

Przejazdów czas stracony



pasażerów. Łódź nie ma warunków dla likwidacji tramwajów i zastąpienia ich autobusami. Przez wąskie ulice miasta musiałyby płynąć nieprzerwany ciąg autobusów, by pomieścić w nich tę samą ilość pasażerów, którą mieściły tramwaje. Trzy-wagonowy tramwaj przewozi około 300 osób, autobus — kilkadziesiąt. Tramwaj wytrzyma więcej, autobus jest delikatniejszy. Autobus, by był szybki, potrzebuje odpowiedniej, szerokiej jezdni, dobrego ciągu komunikacyjnego. A taki mamy w Łodzi na dobrą sprawę tylko jeden: trasę Kopcińskiego — Promińskiego.

• ☆ •

Łódź jest miastem niedoinwestowanym w wielu dziedzinach gospodarki, nie jest

to dziś tajemnicą. Jest niedoinwestowana również w dziedzinie komunikacji miejskiej. Brak nowego i nowoczesnego taboru to nie jedyny grzech. Przez wiele lat komunikacji miejskiej nie inwestowano w dostatecznym stopniu. Tabor autobusowy rośnie od 1963 roku, ale zajezdnie dla autobusów powstaje dopiero teraz. Brak podstacji trakcyjnych, nie modernizowano dostatecznie torów tramwajowych. Pojedyncze tory tramwajowe ciągle jeszcze hamują sprawną komunikację na terenie miasta. Motorniczy ciągle jeszcze dubią w zwrotnicach metalowymi drążkami. Łódź ma zaledwie około 15 procent zelektryfikowanych zwrotnic. Gdy spadną pierwsze śniegi i anegdotą stają się lipcowe doniesienia, że „MPK jest przygotowane do odparcia ataku zimy”, główną przyczyną

zakłóceń w komunikacji są zamarzające i zasypywane śniegiem zwrotnice. I tak dalej i dalej. Nie tylko z braku szczegółowej znajomości tematu, ale i braku miejsca nie jestem w stanie wliczyć tu wszystkich zaniedbań, które można było w ciągu lat stopniowo usuwać.

Nadrobić zaniedbania dziesięciu lat nie jest łatwo. Wymaga to i czasu i nakładów finansowych i środków materialnych. Co się robi i jakie są plany naprawy? Z tym pytaniem zwracam się do inżyniera Edwarda Majewskiego, zastępcy dyrektora Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego do spraw eksploatacji.

— Panie dyrektorze, jeździ po Łodzi obecnie kilka tzw. szybkieńskich wozów przegubowych, czy to oznaka, że będą nowe wozy dla Łodzi?

— Są to wozy próbne, jeśli zdadzą egzamin — „Konstal” rozpocznie ich produkcję i w 1973 roku pierwsze z nich nadejdą do Łodzi.

— Nie bardzo rozumiem, dlaczego próbne, przecież w Warszawie ten typ wozów jeździ już od kilku lat?

— Tak, ale nasze opracowane są według nowej dokumentacji technicznej, proszę nie zapominać, o łódzkich wąskich torach. Poza tym Warszawa ma wozy pojedyncze, u nas są przegubowe.

— Wynika z tego, że „Konstal” będzie robił te wozy specjalnie dla nas. A co, zdaniem Pana, do tego czasu należy robić, by usprawnić komunikację miejską? Bo przecież tabor to jeszcze nie wszystko.

— Trzeba już przygotować się do budowy nowej zajezdni autobusowej, gdyż ta trakeja w najbliższym czasie rozwijać się będzie bardziej dynamicznie, niż tramwajowa. Trzeba budować trasy, łączące dzielnice peryferyjne z pominięciem zatłoczonego śródmieścia. Istotne tu będzie jak najszybsze ukończenie budowy torów na ul. Mickiewicza do Towarowej i na Towarowej do Srebrzyńskiej. Uruchomienie tej trasy odciążą Al. Kościuszki. Oczywiście, najsukuczniejszym i najnowocześniejszym rozwiązaniem problemów komunikacyjnych byłaby budowa metro — szybkiej kolei miejskiej. Wiele fachowców twierdzi, że jest ono potrzebniejsze Łodzi niż Warszawie. Trasę metra mamy już wytyczoną... na mapie. Ale z realizacją trzeba będzie jeszcze chyba poczekać.

Na realizację czeka również plan wykorzystania kolei obwodowej dla potrzeb komunikacji miejskiej. Budowa kilku odcinków obwodnicy pozwoliłaby na połączenie tym środkiem komunikacji między innymi Dąbrowy z Teofilowem. Ale i to chyba nie jest kwestią najbliższej przyszłości. Szczególnie, że wielkich sukcesów spodziewać się po tym nie należy. Linia obwodowa jest i tak przeciążona przewozami towarowymi.

— A co na najbliższą przyszłość?

— Przede wszystkim uzyskanie środków na unowocześnienie taboru istniejącego, na naprawę torów i nawierzchni ulic. Na przykład Piotrkowska od ul. Głównej ma kostkę bazaltową, która powinna być pokryta asfaltem, bowiem w czasie deszczu stanowi dla autobusów istną ślizgawkę. Niezmiernie istotne dla sprawnego komunikacji jest również poszerzenie jezdni. Jednym słowem wszelkie działania dla ochrony i właściwego wykorzystania tego, czym dysponujemy w tej chwili.

— Miejmy nadzieję, że ważkość tych spraw rozumieją władze miejskie, rozumie bezpośrednio zaręczoność MPK — Zjednoczenie Gospodarki Komunalnej. I, że znajdzie to realne odbicie w działaniu.

TERESA WOJCIECHOWSKA

w latach 1951—1965 nastąpił blisko dwukrotny wzrost liczby uczniów szkół podstawowych, przeszło dwukrotny wzrost liczby uczniów liceów ogólnokształcących i dwukrotnie wzrosła ilość studentów wyższych uczelni. W związku ze stosunkowo szybkim tempem rozwoju oświaty i szkolnictwa gospodarka narodowa wchłonęła w latach 1961—1965 ponad milion absolwentów szkół zawodowych i blisko 120 tysięcy absolwentów szkół wyższych. Przyczyniło się to do poprawy struktury wykształcenia ogółu zatrudnionych w Polsce, ale daleko nie zaspokoiło zapotrzebowania gospodarki narodowej na kwalifikowane kadry. Deficyt w tym zakresie wynosił w minionym pięcioleciu blisko 60 tysięcy osób z wyższym wykształceniem i ponad 150 tysięcy ze średnim. A były to przecież lata stosunkowo dobre. Bardziej alarmująco przedstawia się zestawienie liczbowe odnoszące się do lat 1956—1960. Porównajmy spokojnie: w latach 1950—1955 szkoły zawodowe wszystkich typów ukończyło 864,3 tysiące osób, szkoły wyższe zaś 147

tysiące, podczas gdy w latach 1956—1960 dla absolwentów szkół zawodowych wskaźnik wynosił zaledwie 451,3 tysiące osób, dla absolwentów wyższych uczelni 96,2 tysiące. Po roku 1956 nastąpiło poważne osłabienie tempa rozwoju szkolnictwa wyższego w naszym kraju. W rezultacie Polska spadła na przedostatnie miejsce (po Rumuni) wśród europejskich krajów socjalistycznych pod względem liczby absolwentów na 10 tysięcy mieszkańców, zaś zdecydowanie na ostatnie, gdy chodzi o liczbę absolwentów na tysiąc zatrudnionych.

Wiadomo nie od dziś, a potwierdziły to m. in. badania Instytutu Pracy w Związku Radzieckim oraz badania polskie, dotyczące grupy rolników i robotników w przemyśle bawełnianym, że wydajność pracy jest ściśle zależna od posiadanego wykształcenia i kwalifikacji pracownika. Wyniki pracy wykwalifikowanego robotnika (pracownika) są tedy produkcyjnym efektem wykształcenia. Z uznania oświadczył jedno z istotnych źródeł wzrostu

gospodarczego należałoby wysnuć konsekwentne wnioski. Skoro o społecznej wydajności pracy decydują siły wytwórcze, tj. „we wzajemnym związku pojęte zarówno środki rzeczowe, jak i ludzie”, skoro oba te elementy łącznie stanowią „potencjał produkcyjny społeczeństwa”, jak długo będziemy uważać wydatki na ludzkie kwalifikacje za... nieprodukcyjne? Nie na tym koniec. Budź uzasadniony niepokój problematyczna metoda obliczenia kosztów wykształcenia. Wiadomo, że są one wysokie, ale jak wiadomo opłacalne. Wszakże miejsce pracy są o wiele kosztowniejsze, niż miejsca nauki zawodu. Odpowiednio zaś wzrasta koszt źle wykorzystanego miejsca pracy przez niewykwalifikowanego pracownika. Stąd pytanie, czy nie powinniśmy zastanowić się nad właściwymi proporcjami między wydatkami na kształcenie (miejsca nauki zawodu) a miejscami pracy? Czy nie powinniśmy zrezygnować z takich anomalii, jak zaliczanie do „strat społecznych” kosztów powstałych z oderwania dużej grupy ludzi na o-

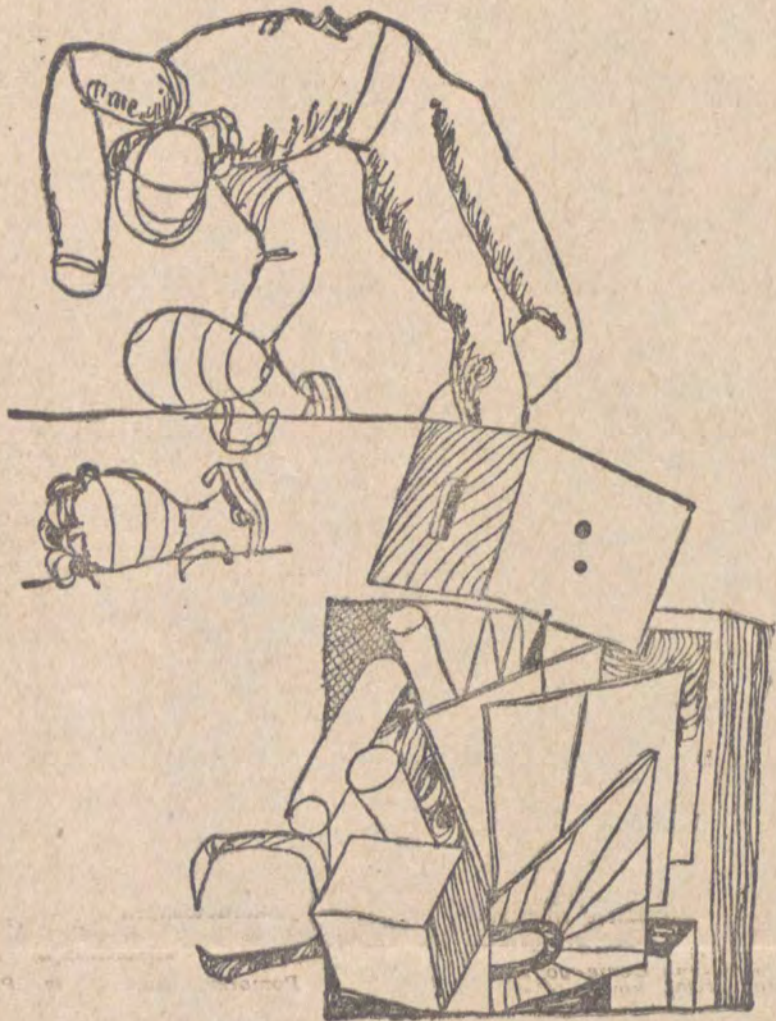
kres nauki od „udziału w społecznym procesie pracy”? Czy ma swoje uzasadnienie praktyka wliczania ogólnych wydatków na badania naukowe w szkołach wyższych w koszty kształcenia studentów?

Trudno spodziewać się, by wszystkie te sprawy mogły być rozwiązane zaraz i od ręki. Ale nie można ich nie dostrzegać. Dotychczasowa kwalifikacja wydatków na oświatę i naukę jako dziedziny nieprodukcyjne nie tylko pozostaje w sprzeczności z ich rzeczywistą funkcją społeczno-ekonomiczną. Odbiega także od praktyki większości rozwiniętych krajów świata. U nas w Polsce tzw. inwestycje nieprodukcyjne były — szczególnie w latach 60 — czterokrotnie obcinane, kiedy zachodziła potrzeba zahamowania ogólnego wzrostu inwestycji. Przykładem jest rok 1963. W pięcioleciu 1961—1965 udział inwestycji produkcyjnych był większy, niż to nawet założono w planie na ten okres czasu. Jeżeli przypominamy, że plan na lata 1966—1970 zakładał udział inwestycji nieprodukcyjnych zaledwie na 23,9 proc., to jest naj-

mniejszy w całym okresie Polski Ludowej, jest oczywiście, że przy zaliczaniu do nich wydatków na naukę i oświatę, musiało nastąpić osłabienie tempa jej rozwoju i ograniczenie rozmiarów kształcenia kadr wykwalifikowanych, a więc zjawiska na pewno niekorzystne z punktu widzenia perspektywicznych interesów naszego kraju.



SPOTKANIE II



Rys. E. Inglot

Zaraz... skąd ja go znam?...
No tak: to było zimą. Śnieg przylepił się pod podeszwami i dał wiatr.

Pewnie mnie teraz poznał, bo zatrzymał przez chwilę wzrok na moim nosie, a potem ześliznął się po mnie oczyma i popelznał wzdłuż korytarza na przerwę. Cóż, człowiek nigdy dokładnie nie wie kogo potrącił kiedyś tam.

Ale on potrącił mnie świadomie. Z całym patosem współczesnej brutalności, rozpychając się przez życie nie tylko loketkami, ale i twarzą.

A mnie tylko wtłoczono w zasięg jego brutalności. Potężna fala wsiadających do tramwaju ścięła mnie z nóg i rzuciła w jego objęcia.

— Czego się pan pchasz, do jasnej cholery!

— Przepraszam.

— Furmanka wam jeździć, drabiniastym wozem, albo za krówkami pochodzić pieszkom, jeśli nie umie się jeździć po miejsku.

Używał niebanalnych zwrotów, oryginalnych określeń, a nie tak nie razi polonisty jak wyświechtane frazesy czy rym „gorące jak słońce pachnące na łące”. A w nim nie z grafomana. Wszystko świeże, pachnące ścieżką, bo facet uczulony na wieś i zbyt natarczywie szermuje miejską komunikacją chcąc zdeptać koleiny od ojcowego wozu w rodzinnej wiosce. Z wypożyczoną do niego od sąsiada szkapą. Jeszcze na studiach, gdy badaliśmy na wsi dialekty, koleżanka prosiła gospodarza, by pozwolił jej pogłaskać krowę.

„Więc tak ona wygląda z bliska” — dziwiła się uroczystym, wielkomięjskim grymasem.

„Niech panienska dotknięcie” — zachęcał gospodarz.

„A nie kopnie?”

Chciałem ją wtedy kopnąć siarczyście i winę zganić na krowę, ale machnąłem tylko ręką. Dość się u ojca krowy nadała, więc

niech raz popatrzy na nią z góry, Może kiedyś zmądrzeje.

Oczywiście krowa.

„Nie. On nie powinien wiedzieć, że go poznałem. To byłoby zbyt proste. Musi tylko zwątpić w to, że go nie poznałem. Musi o mnie myśleć jak o niepewnej dziewczynie, której nie tylko nie zna uczuć, ale i jej wybryków, którymi każdej chwili może go zaskoczyć. W najmniej korzystnym dla niego miejscu. Może na końcu roku? Gdy trzeba się będzie zdecydować na stopień?”

Niech więc żyje i rozwija się w niepewności. Niech trawi go tamto tramwajowe spotkanie. Każde wypowiedziane wtedy zdanie będzie go nękać setki razy, na każdej mojej lekcji, aż zniecierpliwi tamte słowa, udławi się nimi, wypała się w jego ustach, aby już nigdy więcej takich, ani im podobnych, ani do mnie, ani do nikogo więcej... W jego psychice musi wytworzyć się odruch wymiotny, naturalny wręt. Aby to jednak mogło nastąpić — potrzebna mu roczna kuracja odwykowa.

Bo na pewno będę go uczył. Egzamin składał przed kimś innym, więc może do wyższej klasy?... A może powrócił tylko po dłuższej przerwie do szkoły? Albo przeniósł się z innej? Z innego miasta? I egzaminu nie składał w ogóle? Zauważyłem obrączkę na jego palcu. Pewnie wzenił się w Łódź i u nas chce dokończyć samochodową edukację.

Przyzwyczajeni do mijania ludzi w biegu, nie zauważają ich nawet. W pedzle formułują zdania krótkie, dobitne, kłujące jak klakson, gdy ktoś napatoczy im się na skrzyżowaniu, czy na zakorkowanej ulicy. Wyrzucają wtedy w pościechu jaskrawe „wiązanki”, jak błoto spod kół na przechodniów. Bezkarci przy swojej szybkości, pełni jej przewagi, siły, ilości rozpedzonych kilogramów.

Więc prowadząc samochód mu-

si kierowca wiedzieć, że nigdy nie wiadomo, kogo obrzuci błotem, w czyje ręce powierzy soczystą wiązanekę, kogo z tych ludzi spotka, gdy wysiadzie z wozu. Świat nie kończy się w samochodzie, układ kierowniczy też nie jest najważniejszy. Samochód służy także do przewożenia ludzi, kierowca jest też, niestety, tylko człowiekiem. Mogą go powieźć i inni. Niekoniecznie nawet samochodem.

Przyswojenie tej prawdy to jednak dopiero pierwszy etap edukacji. Ważniejszy jest drugi: być kulturalnym nie tylko ze strachu, ale i z wewnętrznej potrzeby. Z samego siebie. Bez widocznego interesu. I do tego właśnie potrzebna psychoterapia odwykowa.

„Wlazł w ostatnią ławkę, ale jest tam jeszcze bardziej widoczny. Sam sobie wyznaczył to miejsce. Zaszeregowal się w ostatnim rzędzie, jak bezpłatny pasażer, który przeprosza, że jedzie. Zdemaskował się, że ma coś do ukrycia. Przyznał się przed samym sobą, że bilet fałszywy. Niech go jednak trochę popieczę w rękę. Nie pozwolę mu go wyrzucić. Ale przesłiznąłem się po nim, obojętnie oglądając uczniów. Odetchnął. Rozprostował się o centymetr wyżej.

Miałem przecież prawo go nie poznać. To było już dawno. Miał na sobie skórzaną kurtkę z podniesionym kołnierzem. Czapkę naciśniętą na czoło. Samo takie ubranie daje człowiekowi pewność siebie, nie mówiąc już o tym, że szata nie tylko zdobi, ale i zmienia człowieka.

Jeszcze wzrósł o centymetr. Na szerokość — również. Usiadł wygodniej w ławce. Ciepło. Życie jest piękne.

Nie przesadzajmy: nie może jednak być zbyt piękne. I nie w jego wyłącznie kierunku. On też musi mieć w tworzeniu tego piękna jakiś udział. Wbiłem go oczyma w poprzednią, mniej wygodną pozycję. Zmieszał się.

— Czy my się przypadkiem nie znamy? — zapytałem go lekkiem zezem.

— Chyba nie — odpowiedział kłamiwą swobodą ramion, robiąc jednocześnie dobronudną minę. Ale tylko częścią twarzy, bo druga, ta większa, miała niezdecydowany wyraz.

Na dziesiątej lekcji, gdy wszystkie znaki drogowe upewniły go, że nie został rozpoznany, zwątpił, czy to byłem wtedy rzeczywiście ja. A na piętnastej — że jeśli ja byłem wtedy mną, to może on nie był nim? Najprawdopodobniej ktoś inny komuś innemu nawymyślał wtedy w tramwaju, więc po co teraz ta cała heca?

Wywołałem go do odpowiedzi. Dostał dwójkę. Chyba dlatego, że umiał niewiele... mniej. Patrzyłem jednak na niego tak, jakbym nicował jego życiorys w najdrobniejszych szczegółach. Odruchowo zatrzymaliśmy się jednocześnie na jednej dacie tego życiorysu. Na jednym zdarzeniu. Tyle, że bez słów.

Zmierznił trochę i zaczął szukać ze mną kontaktu poza klasą. Chciał pewnie przeprosić za przeszłość, rąbnąć się w piersi aż zahuczy. Zdybał mnie kiedyś w drodze do szkoły.

Ale powitałem go tak uprzęmie, że zbaraniał. Tak, to na pewno nie byłem wtedy ja, bo gadaliśmy teraz jak dwaj dziadkowie na rencie. Jezdnia, psia krew, się popsula — taki kiepski wylałi asfalt. Zimą znów pewnie będą posypywać solą, więc zniszczyje karoserii za kilkadziesiąt milionów. A tu zim na drodze ustawy nie daje się skasować...

Przed bramą szkoły byliśmy już niemal przyjaciółmi. Facet przez ten kawałek wspólnej drogi poprawił się nawet na twarzy, jak-że więc wyciągać brudy z przeszłości, gdy nagle zaświeciło słońce? Życie jest jednak piękne...

Tego dnia wyciągnąłem na lekcji jakiś temat wiążący się z trudem z kulturą obyczajów i ów margines wypełnił nam ostatni kwadrans lekcji. Mówiąc, patrzyłem cały czas na niego dwuznacznie.

— Nie ciesz się, stary, Do ciebie przecież ta mowa. Rozumiemy się chyba obaj doskonale — dawałem mu coraz wyraźniej ironizującym spojrzeniem do zrozumienia.

Zalamał się.

Nazajutrz dostał piątkę. Uściśnąłem mu mocno dłoń.

W poniedziałek zapytałem, czy nie męczy go jazda tramwajem. Ciasno, ludzie się pchają...

„Dręczyłem go przez cały rok.

Z dłuższymi, oczywiście, przerwami. Przed każdym okresem dawałem mu „urlop”, żeby nie zaważył jakiegoś przedmiotu. Także w czasie nasilenia grypy, silnych mrozów, przed pierwszym, gdy ciężko związać koniec z końcem, po wypłacie, by nie upił się ze zgrzyoty, z okazji ważniejszych świąt państwowych, moich osobistych sukcesów, i innych, pomniejszych wydarzeń. Nie zamierzałem przecież mścić się na nim, ani też naprawiać go na siłę, żeby się gwint nie urwał. Proces jego odnowy musi dokonać się drogą ewolucji, łagodnego wrastania w nową skórę i obyczaje.

Może nieco dłużej niż rok. Ale niewiele więcej, aby się nie przyzwyczaił. Przyzwyczajenie osłabia siłę wzruszeń, banalizuje je, pomniejsza, nadaje im codzienną, bezbarwną rangę.

Zamilkłem więc na wiosnę, by latem wystrzelić.

Ale przed maturą pewnie zapomniałem o nim. Wypadł mi jakos z programu. To nic. Pomyśli sobie, że tylko się przyczaiłem.

Zmalat w swej ławce, rozmiękł. Tak bardzo, że nie byłoby już satysfakcji lepić z niego cokolwiek. Zbyt miękka glina nie jest właściwym surowcem do tworzenia. I nieprzyjemna w dotyku. Niech sam się teraz pomaltretuje. Już wie, jak to powinno się robić.

Na maturze wymknął mi się spod ręki. Zamiast być pod prawą, znalazł się w pobliżu lewej i był tak zdecydowany na wszystko, że ja nie potrafiłem się zdecydować na cokolwiek. Każdy mój gest mógłby mu tylko zaszkodzić.

W uśmiechu — dopatrzyłby się podstępny, w odpowiedzi — haczyka, w pytaniu — złośliwości. Byłem już zszęta nie mniej zmęczony nim niż on mną. Wykończyliśmy się chyba na wzajem.

Słuchałem go więc tylko, popijając kawę.

Ale miał mi wiele do powiedzenia. Przygotowany na najgorsze — obkuli się do egzaminu znakomicie. Podpatrzył moje trudniejsze pytania i uprzedzał je sam, nawiązując do nich chociaż nie było to konieczne. Lekturę przeczytał chyba jeszcze raz od początku do końca, bo operował najdrobniejszymi szczegółami. Zaliczył też wszystkie teatralne sztuki przewidziane nie tylko moim

programem, ale i programem wszystkich łódzkich teatrów. Zaczęłam obawiać się nawet, by zachęcony egzaminem, nie zechciał pójść na polonistykę. Czoło i oczy przybrały przecież taki skupiony, nawet melancholijny wyraz. Wsubtelniał.

Postawiłem piątkę.

I straciłem go z oczu. Nie było go już ani na korytarzu, ani w szkole, ani za szkołą. Wsiadł pewnie do tramwaju, a że o tej godzinie tłok — najprawdopodobniej nawymyślał komu... Za wszystkie szkolne kłopoty ze mną, za rumieńce na twarzy, przeczytana po raz drugi lekturę. Może znów wyjdzie mu to z korzyścią na jakimś życiowym egzaminie? Dostał przecież piątkę...

Albo, po prostu, nie miał mi już nic więcej do powiedzenia.

★ ★ ★

Po maturze, po rozdaniu już świadectw, ktoś podszedł do mnie na ulicy.

— Panie profesorze!

Odwrociłem głowę. W pierwszej chwili nie poznałem go, bo było ciemno, a ulica — źle oświetlona.

— To ja. Ten z tramwaju. Pamięta pan profesor?

— Z tramwaju? — udałem, że nie wiem o co chodzi. — Z jakiego znów tramwaju?

Ale się nie wycofał tym razem. Natarł na mnie całą siłą męczących go wspomnień.

— To było już dawno. Nie chodziłem jeszcze wtedy do naszej szkoły...

Narysował z pamięci cały przebieg tamtego spotkania. Nie starał się złagodzić niczego. Widział tamta scenę w jeszcze bardziej jaskrawych kolorach niż ja.

— ... potem było mi już obojętne, czy pan mnie rozpoznał czy nie. Nie to mnie dręczyło. Tylko wstyd. Przed samym sobą. I dlatego dziś chcę przeprosić pana. I w pana osobie innych, którym — być może — w podobny sposób sprawiłem przykrość. Nie mogłem tego jednak zrobić wcześniej. Pomyślałby pan, że ze strachu. Ze to nieszczerze. Ale dziś, gdy mam już w rękę maturę...

Przerwał nagle, wytarł nos chustką i wyciągnął spod płaszcza wiecheć kwiatów. Zupelnie jakby się ich wstydził.

GUSTAW ROMANOWSKI

Z cyklu:

„De rerum natura”

Wielka pogoda Sady mrą przesystem wędną korzenie, mrowieją gałęzie — krwiste wędruje lato w tkanki zbite — słońce szerniało — i zblęła tęcza

To owoc pęka marszczy się powłoka miąższ brązowieje łupina opada sok ścieka w słońcu tężeje o zmruku pryskają pestki Rozwija szarada

I już w obrotach w olepym zachwycie skreca się ciężar twardej glukoza w tchawkach powietrza szary nalot Skrycie głaszczce powierzchnię — czern — i śniedzi pożar

Więc suche pory zetrze perspektywa — wiotczęją palce opadają kregi — Zabrakło słowa — jest pora szczęśliwa pulsuje próchno — Kończą się wykrety

1968

ANDRZEJ BADZIAK



Wyparłaś z desek zawstyżone głosy jak spada popiół w prezbiteria uszu I cóż opływa to światło powtórzenie ciała ostrożną kulą jest w tobie nabożeństwo dzwonów które unosisz pod powieki sęków i tylko drzewem nazwałbym tą chwilę wyrosła z drzewa tak łatwo zanurzasz w korę swoje imię

„Brzeg” J. Skoszkiewicza

Funkcjonowanie odwiecznych mitów, ich modyfikacje we współczesnej literaturze — bywają zaskakujące. Chodzi, rzecz prosta, o archetypy, bowiem modyfikacje zdeterminowane są przez różne czynniki, nawet wówczas, gdy dokonują się poza świadomością autorów dzieł.

Autorzy różnych epok bardzo często sięgali do mitu Edypa, przekształcali go na różne sposoby i dla różnych celów. Działo się to niezależnie od faktu, że dzieło Sofoklesa miało przecież kształt skończony doskonale. Podczas, gdy starożytny autor na pierwszy plan wysuwał determinanty, wskazujące na słabość kondycji człowieka w świecie, zaludnionym przez zjawy pozaziemskie, to współcześni twórcy szukają ich gdzie indziej, na ziemi.

Wystarczy sięgnąć do „Homo

Faber” Maxa Frischa. Autor przedstawił nam sytuację, w której ojciec uwodzi własną córkę. Ojciec nie wiedział, z kim ma do czynienia, ponieważ rozstał się z matką dziewczyny jeszcze przed jej urodzeniem. Zdecydowały o tym przyczyny, których źródło tkwi nie tylko w powikłaniu losów ludzkich przez historię, lecz także inne czynniki, między innymi egzystencjalne i obyczajowe. Podobieństwo jest określane tym silnie, że zarówno w starożytnym dramacie, jak i tej współczesnej powieści, losy bohaterów były tylko częściowo kształtowane zgodnie z ich wola, gdyż brak pełnej informacji o świecie był jednym z czynników prowadzących do tragedii. Frisch, nie bez kozery, kazał bohaterom swego dzieła umierać w Grecji. Mamy tu do czynienia z zamierzeniem konstrukcyj-

nym najwyższej próby, celową konfrontacją sytuacji człowieka współczesnego z bohaterami starożytnego dramatu.

Rozważamy zależność dzieła Sofoklesa i Frischa nie bez powodu, bowiem dzieła te zaważyły w jakimś stopniu na kształcie powieści Janusza Skoszkiewicza — „Brzeg”.

Bohater „Brzegu”, podobnie jak Walter Faber, spotyka na statku własną córkę. Pozostaje długo w nieświadomości z kim ma do czynienia. Jest pod urokiem dziewczyny. Niebrudno się domyślić, jakie wzbudza ona w nim uczucia. Lecz tutaj podobieństwo do dzieła Frischa się kończy. Podczas gdy bohaterowie powieści Frischa poddani są działaniu tragicznych przeznaczeń, to u Skoszkiewicza rzecz kończy się pogodnie. Walter Faber traci córkę i dowiaduje się na koniec, że jemu samemu grozi nieodwołalne, śmiertelne niebezpieczeństwo. W warstwie refleksyjnej powieści znajdziemy także rozważania metafizyczne, w końcowej partii książki doczytaliśmy się znaczącej sentencji — „Być wiecznym: to znaczy kiedykolwiek istnieć” — mówi Frisch.

Skoszkiewicz stroni od tego typu refleksji, wprowadza nas w

żywiół wydarzeń. Jola — córka z jego powieści, domyśla się, że fascynujący ją nieznajomy jest jej własnym ojcem i proponuje mu spotkanie z matką, dąży do połączenia tych dwojga, tragicznie rozdzielonych przez los, ludzi.

Archetyp Edypa okazał się tutaj mniej przydatny — wystarczyło do zawiązania akcji. Później losy bohaterów potoczyły się całkiem inaczej niż w starożytnej tragedii. Skoszkiewicz nadał im sens optymistyczny. Losy bohaterów jego powieści określała raczej przypadki. Fascynują autora motywy psychologiczne działań i zachowań bohaterów; osadza ich w konkretnej rzeczywistości społecznej. Przeżywają oni piekło wojny, tragiczne jej skutki.

Główny bohater „Brzegu” był w konspiracji. Po wojnie osiedlił się na Ziemiach Odzyskanych, na Wybrzeżu. Jest to bohater pozytywny, skrzywdzony przez historię. Autor na koniec potraktował go łagodnie, pozwalając połączyć się z ukochaną i owocem ich miłości — córką.

Książka Janusza Skoszkiewicza jest powieścią współczesną, lecz odwołującą się do przeszłości. Splot partii retrospektywnych z opisem wydarzeń współczesnych

— dynamizuje tę prozę, uwydatnia także rysunek postaci powieściowych.

Autorowi „Brzegu” znakomicie udało się oddać nastrój grozy lat wojny i dynamikę odbudowy kraju po wojnie. Pokazał wysiłek ludzi, wyrastających w tym procesie na jednostki godne podziwu. Szczęśliwie udało się Skoszkiewiczowi uniknąć patosu i idealizacji, tak charakterystycznej dla literatury sprzed lat kilkunastu. W niektórych partiach książka nosi cechy dobrego literackiego reportażu. Skoszkiewiczowi znakomicie udało się uchwycić w statu nascendi przemiany społeczno-obyczajowe w całej ich złożoności. Trafnie podpatrzył on także cechy obyczajowości młodego pokolenia, co uwydatnił w rysunku postaci Joli.

W sumie „Brzeg” jest niewątpliwym osiągnięciem Janusza Skoszkiewicza na tle jego dotychczasowego dorobku literackiego. Zaprezentował on nam książkę, której walory narracyjne dają czytelnikowi pełną satysfakcję.

*) Janusz Skoszkiewicz: „BRZEG”, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1970, cena 14 zł.

Przeszłość i terażniejszość

Nie podzielam narzekania i utyskiwań na ustawiczną zmienność ocen naszej historii. Rozumiem, że sprawa ona wiele kłopotu, że nie pozwala pozostać jedynie przy tym, czegośmy się kiedyś nauczyli, zmusza do nowych lektur i przemyśleń, słowem nie pozwala nam spocząć na laurach i domaga się od nas wciąż nowego wysiłku, jeżeli jeszcze pragniemy dowiadywać się, jak to niegdyś rzeczywiście było. Tęsknota do wiedzy historycznej ostatecznie skodyfikowanej i speyfikowanej w niezmiennym kanonie jest zapewne uzasadniona psychologicznie, jednakże na pewno nie naukowo; więcej, każdy, kto ma do czynienia z naukowym uprawianiem historii zdaje sobie sprawę, że jest to marzenie bezasadne. Sceptycy chętnie w owej zmienności ocen historiografii tropią kontinentalizm historyków — nie przecze, że zjawisko takie istniało i istnieje, ale przecież nie tu leży istota interesującego zjawiska. Poglądy na przeszłość zmie-

niały się, zmieniają i będą zmieniać póki w ogóle ktoś będzie się zajmował historią, dzieje się tak nie tylko u nas, ale we wszystkich krajach, a wiąże się to nie tylko ze statym narastaniem materiału źródłowego, lecz także doskonaleniem rzemiosła historycznego, stawianiem przez historyka coraz to nowych pytań przeszłości i uzyskiwaniem na nie nowych odpowiedzi. Poznanie naukowe w historii jest bowiem podobnie jak w innych naukach procesem, nie zaś jednorazowym aktem, jest procesem powolnego zbliżania się do adekwatnego poznania — miennej rzeczywistości, o której wciąż trudno rzec, że ją już dokładnie znamy.

Jeden z najwybitniejszych historyków francuskich nasz-go stulecia mawiał, że pierwszym obowiązkiem historyka jest... zrozumieć. Wydawałoby się, że postulat to niemal truistyczny, ale jakże trudno do realizacji w praktyce badawczej! Zrozumieć ludzkie postawy, czyny i myśli z czasów, które są przedmio-

tem zainteresowania uczonego jest znacznie trudniej, niż je zarejestrować na podstawie zachowanych śladów źródłowych. Tym trudniej, im owe postawy, czyny i myśli są odleglejsze od naszych, bardziej inne, bardziej niezrozumiałe...

w naszej historiografii — dziejami Stronnictwa Narodowego w okresie okupacji, do lipca 1944 roku. Kończąc czuła badań Tereja została zarysowana ostro i wyraźnie — data ta — po wojnie autor — „stanowi datę rozgraniczającą w spo-

Rzeczywistość i polityka

Przed tym właśnie problemem stanął Jerzy Janusz Tereja podejmując badania nad jednym z najważniejszych, a jednocześnie najbardziej kontrowersyjnych i najgorzej dotąd znanych nurtów polskiej myśli politycznej, mianowicie nad endecją. W książce „Rzeczywistość i polityka. Ze studiów nad dziejami najnowszej Narodowej Demokracji” (KiW 1971) zajął się — po raz pierwszy

sob wyrażny okupacyjną problematykę Stronnictwa Narodowego od późniejszej dziejów ugrupowania wchodzącego w podziemiu przeciwko władzy ludowej w Polsce”. Inaczej z początkową czułą badał. „Jest rzeczą niemal niemożliwą — powiada Tereja, a dalej szeroko tego dowodzi — wyjaśnienie kierunków rozwojowych endecji w latach okupacji bez uwzględnienia sytuacji oraz stano-

wiska politycznego i prądów ideowych, nurtujących SN w okresie poprzedzającym wojnę”. Dlatego też autor cofnął się aż w polowe lat dwudziestych, by zarysować dzieje wewnętrznych konfliktów w łonie endecji, jaki przebiegał między „starymi” i „młodszymi”, a który nasilił się w okresie bezpośrednio poprzedzającym wybuch II Wojny Światowej i wycisnął swe piętno na okupacyjnych dziejach stronnictwa.

Zaznaczyły się one — tak jak je przedstawia Tereja w trzech rozdziałach swej książki — pogłębieniem rozbratu koncepcji politycznych kierownictwa z realiami społecznego i politycznego bytu Polski. Są to dzieje tragiczne i tak właśnie przedstawił je autor. Cenię go za to, że konsekwentnie stara się zrozumieć, nawet postawy najoczywistej błędne, ba najwyraźniej szkodliwe. Nie wymyśla i nie pokrzykuje, choć przecież na pewno do entuzjastów endecji nie należy, przeciwnie, jest jej surowym krytykiem. Stronnictwo, które jeszcze niedawno było — jak to przedstawił ostatnio w swej pięknej książce Andrzej Micewski — najpotężniejszym kon-

kurentem sanacji w walce o władzę, w coraz mniejszej mierze zdobywało się na właściwe rozeznanie sytuacji politycznej kraju, coraz wyraźniej orientowało się w kierunku antykomunistycznym i antyradzieckim. Nie potrafiło wysnuć wniosków z sytuacji, którą dostrzegł jeden z jego wybitnych działaczy, gdy pisał w 1944 roku: „Iluż to zgłaszających się do pracy podziemnej zastrzeżę się z góry, że chce pracować tylko dla Polski, nigdy zaś dla partii. Ludzie ci chcą się wyłącznie bić o Polskę z jej wrogami”. W tym czasie — powiada Tereja na zakończenie — „dobiegają końca okupacyjne dzieje Stronnictwa Narodowego, znaczone krwią jego ludzi, pomordowanych i poległych w walce o niepodległość z najazdem hitlerowskim na Pomorzu, Śląsku, w Poznaniu i w Warszawie, spełnione wrogością do wszystkiego, co postępuje i rewolucyjne, co odbiegało od przyjętych schematów, znaczone antykomunizmem, który nie pozwalał na obiektywną, zgodną z rzeczywistością interesami narodu ocenę rozgrywających się wydarzeń”.

JOZEF GRZELAK

Postać naszej wielkiej pisarki — Marii Konopnickiej — związana jest ściśle z terenem Ziemi Łódzkiej. Spędziła tu wiele lat swego życia, tu poznała wielką polską, stanowiącą główny temat jej utworów.

Najdłużej, bo aż dziesięć lat trwał pobyt Marii Konopnickiej w Bronowie (pow. poddębicki). Pobyt przetrwały tylko wyjazdem za granicę w okresie Powstania Sycylijskiego. Do Bronowa przybyła ona w roku 1862, po wyjściu za mąż za dziedzica tej wsi — Jarosława Konopnickiego. Zamieszkała w starym dworku, krytym słomą, obozonym parkiem z pięknymi białodrzewami i jesionami. Początkowo czuła się w Bronowie szczęśliwa. Brała udział w życiu towarzyskim, w bronowskim dworku przyjmowała z mężem gości i wraz z nim składała wizyty w sąsiednich dworkach, niekiedy nawet dość odległych, jak np. w Tkaczewie pod Łęczycą, należącym do Dzierżbickich.

W Bronowie zastała Marię i Jarosława Konopnickich Powstanie Sycylijskie, w czasie którego Jarosław pomagał jego uczestnikom. W walkach powstańców brał udział młodszy brat Jarosława — Honoriusz, a jedyny brat Marii — Jan — zginął w bitwie pod Krzywosądem na Kujawach. Totem w obawie przed represjami Konopnicy opuścił kraj na okres roku.

W Bronowie urodziło się Konopnickim ośmioro dzieci, z których żyło sześćoro. Okres bronowski Konopnicka upamiętniła książką dla dzieci pt.: „Jak się dzieci w Bronowie bawily”.

Dzisiaj w Bronowie, w miejscu rozebranego w początkach XX wieku dworku Konopnickich, znajduje się

domek wystawiony na starych fundamentach przez ówczesnego właściciela wsi — Artura Dzierżbickiego. Mieści się tu szkoła podstawowa, a w czasie wakacji schronisko młodzieżowe. W budynku znajduje się kącik pamiątek po Marii Konopnickiej, a w jednej z klas wisi portret poetki, wykonany przez łódzkiego malarza, Feliksa Paszkowskiego na zamówienie Związku Polek w Ame-

HENRYK SZUBERT

SZLAKIEM POETKI LUDU POLSKIEGO

ryce. Pobyt poetki w Bronowie upamiętniono tablicą wmurowaną w ścianę tutejszego dworku, zaś w 1962 roku, w setną rocznicę jej przybycia w granice obecnego powiatu poddębickiego umieszczono w parku miejskim Poddębice glaz i tablicę z fragmentem wiersza poetki.

Podczas pobytu Marii Konopnickiej w Bronowie „oknem na świat” był dla niej Uniejów — tu często przyjeżdżano po sprawunki i na poczęcie. W Uniejowie znajduje się metryka najstarszego syna Marii — Tadeusza, a na miejscowym cmentarzu spoczywają prochy zmarłych przodków rodziny Konopnickich.

W 1872 r., na skutek złej gospodarki i długów, Jarosław Konopnicki sprzedaje majątek i wraz z rodziną przenosi się na dzierżawę do Gusina obok Świnic (pow. łęczycki). Ko-

nopnicy zamieszkali w niewielkim domku, który wprawdzie przetrwał do naszych czasów, ale wymaga szybkiego remontu. Jak nas poinformowała Halina Sławińska — inicytorka wielu przedsięwzięć zmierzających do upamiętnienia pobytu Marii Konopnickiej na Ziemi Łódzkiej — przewidziano na 1970 rok odsłonięcie w Gusinie tablicy ku czci poetki, w związku ze wspomnianym

stanem gusińskiego dworku, przelozone zostało na rok 1972 (setna rocznica zamieszkania Konopnickiej w tej wsi).

Przed dworkiem w Gusinie znajduje się staw, zarosła oraz małe wznieślenie — podobno ulubione miejsce poetki, gdzie zwykle coś piła lub czytała. Najbliższym zaś celem wycieczek Marii Konopnickiej była położona 2,5 km na północ od Gusina miejscowość Grodzisko, opisana w cyklu „Z omentarzy”.

Na skutek pogarszającej się z każdym rokiem sytuacji materialnej, pisarka podejmuje odważną decyzję o puszczaniu wraz z gromadką dzieci Gusina i zamieszkania w Warszawie. Jesienią 1877 roku zainaladowane wozy wyruszyły przez Łęczycę w kierunku Warszawy.

W Łęczycy Maria Konopnicka by-

wła już wcześniej. Przyjeżdżała tu z pobliskiego Gusina. Do dziś zachowały się w Łęczycy ślady po Konopnickich. W sądzie powiatowym znajdują się księgi wieczyste Bronowa, a w archiwum — akta z procesu prowadzonego przez Jarosława.

Po śmierci ojca pisarki, pochowanego w dobrach Łęki w Piotrkowskim (marzec 1878 r.) Konopnicka wróciła z Warszawy na krótko do Gusina, a dawny korepetytor jej dzieci — Konstanty Krynicki — wyszukał w tym czasie w Warszawie niedrogi mieszkanie.

Podczas podróży z Warszawy do Góry w powiecie sieradzkim, gdzie od roku 1887 gospodarował Jarosław Konopnicki wraz z synem Stanisławem, pisarka zatrzymała się także w Łodzi u brata Jarosława — Eugeniusza, który zamieszkał tu z rodziną po sprzedaniu Bronowa.

Konopnicka często bywała w Łowiczu, Arkadii i Nieborowie. W Łowiczu jej najmłodszy syn — Jan — pracował w młynie parowym T. Rosenbluma. Podczas odwiedzin syna pisarka wysyłała z klasycystycznego budynku poczty łowickiej listy do swej przyjaciółki, Elizy Orzeszkowej. W latach 1893—1903 Konopnicka zatrzymywała się w Arkadii, w położonym za parkiem domku, gdzie mieszkał Jan ożeniony z mieszkanką Łowicza — Jadwigą Brzozowską. W Arkadii przebywał — będący już w podszłym wieku — Jarosław Konopnicki. Wieś ta stawała się często miejscem zjazdów rodziny Konopnickich.

W jednym z listów do Orzeszkowej pisze, że jej „uśmiechała się nawet myśl zamieszkania, na stałe, tej pięknej siedziby”. Na ścianie drewnianego domku, który został

niedawno wyremontowany, zmałdona jest tablica pamiątkowa, poświęcona Konopnickiej. W przyszłości znajdzie się tu także kącik pamiątek po poetce.

Przyjeżdżając do syna, zatrzymywała się Maria Konopnicka także w Łowiczu, w budynku dawnego Hotelu Polskiego, obok stacji kolejowej. W czasie drugiej wojny światowej dom ten uległ całkowitemu zniszczeniu.

W czasie swych pobytów w Arkadii, poetka odwiedzała też Nieborów, gdzie nie tylko podziwiała wspaniały pałac i park, ale interesowała się istniejącą tu od roku 1881 manufakturą majoliki. W roku 1884 w tygodniku dla kobiet „Świt” zamieściła artykuł o majolice nieborowskiej. W dodatku do numeru 13 pt. „Wysława majoliki w Warszawie” opisała piec z kafli zdobionych herbami.

Poetka przebywała także w Nowym Mieście (pow. rawsko-mazowiecki), gdzie istniał od roku 1873 do pierwszej wojny światowej, znany w kraju i za granicą, zakład przyrodolecniczy, założony i prowadzony przez dr. Jana Bielińskiego.

Pewien związek łączy również Marię Konopnicką z Piotrkowem.

Na terenie województwa łódzkiego wytyczony został około 150-kilometrowy szlak turystyczny im. Marii Konopnickiej, wiodący przez niektóre miejscowości związane z osobą poetki (Uniejów, Poddębice, Bronów, Gusin, Łęczycą, Łowicz, Arkadia, Nieborów, Bednary).

Powiązania Marii Konopnickiej z Ziemią Łódzką — podałem częściowo w oparciu o pracę Haliny Sławińskiej pt. „O wędrownkach Marii Konopnickiej po ojczystym kraju”.

„Wojenne wędrówki” B. Dudzińskiego

Czytelnik, biorący tę książkę do ręki, pomyśli, że chodzi w niej o wspomnienia z ostatniej wojny. Ja też tak myślałem. Tymczasem Bolesław Dudziński cofnął się jeszcze dalej w czasie: do pierwszej wojny światowej i lat ją poprzedzających. Ta mała, niewiele ponad sto stron druku licząca książeczka, zaczyna się bowiem od opisu 1905 roku, kiedy autor był dwunastoletnim chłopcem i chodził — jak sam pisze — do „łódzkiej gimnazji”. Następnie autor przedstawia pierwsze kroki na niwie dziennikarskiej — w „Nowym Kurierze Łódzkim”, poświęcając nieco uwagi atmosferze kulturalnej miasta, ówczesnym kawiarniom i ciekawszym ludziom. Bolesław Dudziński, dziennikarz, krytyk literacki i teatralny, życiem i działalnością związany z Łodzią, nie ogłosił dotychczas żadnej książki. Są krytycy, którzy powstrzymują się przed opublikowaniem w formie książkowej wyboru swoich recenzji w przekonaniu, że są to wypowiedzi aktualne, ulotne, pozbawione szans na dłuższy żywot. Nie podzielałem tej opinii, ale wydaje się, że B. Dudziński należy do jej zwolenników. Zamiast więc wyboru z jego długoletniej działalności krytycznej i recenzentkiej, otrzymaliśmy jako pierwszą jego książkę — zbiór wspomnień wojennych. Sam tytuł wskazuje, że zasadniczą część książki stanowi opis wędrówek autora od momentu wybuchu wojny aż do jej zakończenia. Dudzińskiemu, jak wielu innym Polakom w zaborze rosyjskim, groziło wcielenie do armii i wysyłka na front. Aby tego uniknąć, a w każdym razie, aby to odwiec — wstąpił do szkoły oficerskiej i dopiero po jej ukończeniu znalazł się w armii, ale — na szczęście — daleko za frontem, co pozwoliło mu względnie bezpiecznie przeżyć wojenne lata. Zanim to jednak nastąpiło, przebywał wraz z rodzicami i bratem w Kijowie, gdzie pracował i miał żywe kontakty z tamtejszą Polonią, spotykał również deportowanych z kraju, m. in. Kornela Makuszyńskiego. W swoich wędrówkach wojennych Dudziński zawadził o Moskwę, był na Wołyniu i Podolu, przeżył wybuch rewolucji, rządy Kiereńszczyzny, walki na Ukrainie i wreszcie powrót do niepodległej Polski: najpierw do Warszawy a później do swego rodzinnego miasta — Łodzi. Wspomnienia swoje kończy Dudziński opisem objęcia posady referenta do spraw samorządowych w nowo powołanym starostwie łódzkim.

Książkę Bolesława Dudzińskiego czyta się dobrze. Ani przez chwilę nie nuży ona czytelnika przede wszystkim dlatego, że autor umie pisać zajmująco, zwięźle, rzeczowo. Wspomnienia nie służą mu do tego, aby eksponować siebie. Swoje osobiste przeżycia potrafi przedstawić na tle rozgrywających się zdarzeń, których opis i komentarz nie budzi zastrzeżeń. Jako krytyk dbał Dudziński zawsze o ścisłość i precyzję swoich sądów, jako narrator dowiódł, że tamta praca nie poszła na marne.

Ale trzeba powiedzieć i to, że lektura książki pozostawia pewien niedosyt. Kiedy Dudziński pisze, na przykład, że w kawiarni u Roszkowskiego rej wodził „prof. Feliks Halpern, pianista, kompozytor i pedagog, jeden z najdowcipniejszych ludzi, jakich znałem”, czytelnik chciałby wiedzieć coś więcej o tym człowieku. Jakaś anegdota, jakieś jego charakterystyczne powiedzonko, co by w sposób plastyczny przedstawiło osobowość prof. Halperna. Kiedy Dudziński pisze o swoim terminatorstwie w redakcji „Nowego Kuriera Łódzkiego”, dziwi fakt, że żadnego z dziennikarzy, którym zresztą wiele zawdzięcza, nie wymienia z nazwiska. Ostabia to znacznie dokumentacyjną wartość jego wspomnień. A przecież nikt z tych dziennikarzy i redaktorów nie żyje i nie ma przeszkód, aby przypomnieć ich dzisiejszemu czytelnikowi. Nie mogę też zrozumieć, dlaczego jedne miejscowości podaje autor w pełnym brzmieniu, a inne tylko z pierwszej litery. Ale to wszystko drobiazgi, nie rozstrzygające o istotnych walorach książki. Chciałbym namówić Bolesława Dudzińskiego do napisania wspomnień z dwudziestolecia międzywojennego. Pracował on wówczas na różnych stanowiskach w Łodzi, pisywał do pism warszawskich („Robotnik”, „Wiadomości Literackie”), zna dzieje dziennikarstwa łódzkiego z tamtych lat jak rzadko kto. Pamięta wydarzenia teatralne, wybitnych aktorów, głośniejszych reżyserów i dyrektorów, słowem: wszystko, co działo się w kulturalnej Łodzi międzywojennej epoki. Spisując te wydarzenia, oddałby Bolesław Dudziński wielką przysługę historii naszej kultury, a u czytelników skarbiliby sobie trwałą wdzięczność. Więc, Panie Bolesławie, czekamy!

* Bolesław Dudziński: „WOJENNE WĘDRÓWKI”, Wydawnictwo Łódzkie, r. 1971.



Fot. W. Parys

Andrzej Grun — „Sylwetka”

PIOTRKOWSKA

Dalszy ciąg ze str. 3

Kondek. Bo goniąc po Piotrkowskiej prędzej dostrzeżemy dziurę w chodniku niż detal architektoniczny. Temu procesowi odkryć estetycznych towarzyszyły odkrycia naukowe. Obecnie wiemy o tej ulicy już tyle, że czas zająć się nią już praktycznie. Opracowanie, którego jestem współautorem, oznacza właśnie wkraczanie w ten etap. Uwzględnia ono postulaty stawiane współczesnemu zespołowi obsługi centrum. Sprawą tą żywo interesują się władze, ale trzeba zainteresować nią całe społeczeństwo miasta. I przyznam się, że patrzę w przyszłość optymistycznie. Piotrkowska jest ulicą z ogromnymi perspektywami.

KONRAD FREJDLICH: Proszę Państwa, jest zwyczajem podobnych spotkań, że na zakończenie dokonuje się podsumowania. Sądzę jednak, że choć na pewno nie wyczerpalimy całokształtu tematu, to podsumowanie nie jest

potrzebne, bowiem odczuwam, że w naszej rozmowie zaznaczyła się zdecydowana jednolitość poglądów. Dobrze się też stało, że w naszej dyskusji argumenty rzeczowe mają przynajmniej taką samą siłę jak argumenty natury emocjonalnej. Myślę także, że podobnie jak my, rozumuje większość Łożan.

Przed Piotrkowską otwierają się duże szanse, ale praktyka lat poprzednich nauczyła nas nieufności, toteż dobrze będzie od czasu do czasu wracać do spraw rekonstrukcji i modernizacji tej ulicy. Między założeniami a ich realizacją jest bowiem długa droga, na której wiele się może zdarzyć, toteż obojętne reprezentuje raczej umiarkowany tylko optymizm. Myślę wreszcie, że nietrudno nam będzie o poparcie społeczne i przymam się, że liczę na to, iż po opublikowaniu stenogramu naszej rozmowy, napłynię do redakcji sporo listów na temat przyszłości ulicy Piotrkowskiej. Domyślam się, że będą to listy popierające zgłoszone tutaj postulaty, choć w myśl starej zasady: audiatum et altera pars, warto zapoznać się także z głosami ewentualnych oponentów. Tymczasem dziękuję Państwu za interesującą rozmowę.

LUDWIK SAWONIEWSKI

Wietnamski ruch oporu przeciwko kolonizatorom ma już kilkuletnie tradycje. Opór stawiany z pokolenia na pokolenie, głęboko zapadł w psychikę i życie każdej chińskiej rodziny. Gdzie nie było w rodzinie weterana walk, tam dotarła legenda o przywódcach oddziałów antykolonialnych tej miary, co: Ong Co, Than, czy też młody król Ham Nghi, który moeno oparł się o chłopów w organizowaniu walki z kolonizatorami francuskimi.

W wieku XX walka chłopów i rugowanych z posiadłości ziemskich feudalów, wsparta została przez nową klasę — burżuazję narodową. Jednakże najsilniej pobudzały naród wietnamski do walki Hochimynowskie zasady komunizmu agrarnego. Chłop wietnamski dostrzegł w nich wielkie możliwości wyjścia z impasu. Dlatego też z zapałem i nadzieją angażował się do pierwszych chińskich Rad Delegatów — zapałkowej władzy Viet Minhu i powstałego w grudniu 1960 r. Narodowego Frontu Wyzwolenia. W ten sposób, obok tradycji walki, na grunt wietnamski weszła tradycja władzy lokalnej narodu. Atrakcyjność i siła tej władzy polegała na tym, że realizowała ona postulaty

chłopów wietnamskich. Sprzyjało to wyzwolaniu inicjatywy i woli walki szerokich mas chińskich. To właśnie spowodowało załamanie się koncepcji „wiosiek strategicznych”, opracowanej przez doradców Kennedy'ego: prof. Eugene Staley'a, gen. Maxwella Taylora oraz Walta Rostowa. Chłopi wietnamscy, przesiedleni przez władze sajsko-amerykańskie do „wiosiek strategicznych”, sprzyjali partyzantom NFW, nie zaś swym opiekunom. To zaufanie udzielane NFW było dodatkowym źródłem dynamiki wojsk partyzanckich. Oddziały partyzanckie niebawem ruszyły do wyzwoleńczych bojów, podważając amerykańską koncepcję „strategicznymi wioskami”. W samej tylko delcie Mekongu, do lutego 1964 r. NFW zdobył 3000 wiosiek spośród ogólnej ilości 7000.

Walka NFW o przemiany ekonomiczne wsi, poparta została, w końcu rządów Kennedy'ego, przez miejski ruch buddyjski, który obalił rządy Diema i zapowiedział koniec wojny domowej, prześladowań i niewoli. Okazało się jednak, że optymizm buddystów pozbawiony był realizmu politycznego. Interwencji amerykańscy znaleźli nowych protegowanych: gen. Phanba oraz

gen. Ky. Gen. Ky, zapatrzonny we wzory propagandowe Hitlera, miał skupić naród wokół władzy i wyrwać go spod wpływów NFW. Dojrzała nowa próba sił. Po jednej stronie stał naród wietnamski, zaś po drugiej — siły sajsko-amerykańskie.

Narodowy Front Wyzwolenia kontrolował już wówczas dwie trzecie terytorium Południowego Wietnamu. Siły powstańcze tego Frontu liczyły 35000 wojsk regularnych oraz 80000 partyzantów, co stanowiło łącznie 115000 żołnierzy. Oddziały reżimowej armii południowowietnamskiej liczyły wówczas 450000 żołnierzy, posługujących się najnowocześniejszą techniką bojową. Oddziały te były kierowane przez grupy amerykańskich doradców i specjalistów wojskowych, stanowiących łącznie 23000 ludzi.

Jednakże nie przewaga w sile żywej i technice bojowej decydują o wynikach działań nieregularnych. Przewaga ta decydującą może o rozstrzygnięciu w klasycznym, frontowym starciu. Rozumiał do dobrze prezydent Kennedy, planując zorganizowanie przez swe grupy specjalne (tzw. „zielone berety”) wietnamskiej „kontrpartyzantki”. Kontrpartyzantka, działając w oparciu o

zamożne, w większości katolickie wsie, miała odegrać rolę prometejską w Wietnamie Południowym. Idea kontrpartyzantki upadła, gdyż u jej podstaw nie leżały realne reformy agrarne, tak bardzo oczekiwane przez chłopów na terenie, nie objętym kontrolą sił NFW.

Po śmierci Kennedy'ego, nowy prezydent USA, Johnson, nie zastosiwał wzorów swego poprzednika, ani też nie zdecydował się na rozwiązania polityczne w Wietnamie. Pod presją generałów postanowił on wykorzystać przewagę i możliwości Stanów Zjednoczonych. Oddat planowanie i prowadzenie wielkich operacji wojskowych, dążność do pokonania sił NFW w głównej bitwie, zaczęła przysłaniać rozsądną myśl polityczną. Prezydent Johnson od samego początku nie traktował operacji wojskowych w Wietnamie, jako wojny lokalnej, lecz jako dalekosiężne działania militarne, realizujące żywotne interesy USA. Podobnie oceniał konieczność rozwiniętych operacji wojskowych gen. Eisenhower. I on wierzył w skuteczność przewagi sił. Fetyszyzacja rozstrzygnięć militarnych w koncepcjach generałów USA wynikała z klasowego egoizmu, nie pozwalającego zrozumieć

W ŚLEPEJ

ULICZCE

Dużym zaskoczeniem nawet dla wybitnych znawców sportu był zeszłoroczny awans do I ligi koszykarzy łódzkiego Spółem. Wiadomo było jednak z góry, że zespół ten nie reprezentuje poziomu, który zagwarantowałby mu na dłuższy okres pobyt w ekstraklasie. Było to jasne z tego jeszcze względu, że konkurencja jest bardzo silna, więc należało działać szybko i zdecydowanie. Ambitnemu zespołowi z Helenowa i zarządowi Spółem trzeba było pomóc, by Łódź miała w I lidze zespół dłużej niż jeden rok. Władze sportowe miasta mając to na względzie, zaproponowały — zgodnie z poprzednimi ustaleniami — by inne kluby zasilili Spółem swymi najlepszymi zawodnikami, dając mu możliwość utrzymania się w ekstraklasie koszykówki.

A ustalenia, o których mowa powyżej, mówiły, że jeżeli jakikolwiek klub dzięki swojemu wysiłkowi osiągnie najwyższą klasę w danej dyscyplinie, a drugiej drużynie nie ma w I lidze — automatycznie jego sekcja powinna być wiodącą dla całego miasta. Apel skierowany do LKS i Wdzewa nie odniósł żadnego skutku. Kierownik sekcji koszykówki LKS powiedział wprost niżej podpisanemu: I tak Spółem nie pomoże — muszą wylecieć, a my na nich nie będziemy pracowali i sami wejdziemy do I ligi. Na skutek takiego postępowania wbrew wszelkiej logice, nie trzeba było długo czekać. Spółem, po roku, nie wygrawszy dosłownie ani jednego meczu, spadło do II ligi, a LKS awansu do ekstraklasy nie wywalczył! Tamci byli za

slabi i nie wytrzymali konkurencji, dostarczając jedynie punkty przeciwnikom, drudzy nie sprościli konkurencji i w decydującym momencie przegrali z warszawską Spartą w tak wysokim stosunku, że nie awansowali. No i jak mówią kibice, zrobił się „klops” na całej linii.

ZBIGNIEW SKIBICKI

Pan Prezes wrogiem krytyki

Piszemy o tym dlatego tak wiele, że niestety, nie poskutkowało apele w prasie i perswazja. Nie pomogła krytyka prasowa, wskazująca, że taka polityka kadrowa jest karygodna i że w wypadku, gdy w grę wchodzi sprawa ambicjonalne miasta, partykularyzm klubowy nie może przeszkadzać w osiągnięciu wyższych celów dla dobra sportu łódzkiego. Niestety, tego nie potrafili zrozumieć niektórzy działacze sportowi.

Ponieważ nie jest to wypadek odosobniony i można by w innych dziedzinach sportu znaleźć podobne przykłady — najwyższy czas położyć kres tego rodzaju praktykom. Inne okręgi ze Śląskiem i Warszawą na czele, potrafią sobie poradzić w takich warunkach doskonale i zawsze mają na względzie w pierwszej ko-

lejności dobro miasta czy regionu, a nie ambicjonalne korzyści poszczególnych klubów, lub działaczy...

Przed kilkunastu dniami odbyło się w Łodzi spotkanie i sekretarza KL PZPR Bolesława Koperskiego z aktywnym sportowym miastem. Tam przedstawiciele zwią-

zków zawodowych, związków sportowych, klubów i dziennikarzy, informowali o najważniejszych problemach kultury fizycznej i sportu wycynowego Łodzi. Mówiono o bolączkach i brakach, zwracano uwagę na niedoinwestowanie włókienniczego miasta, gdyż mamy za mało krytych pływalni i hal sportowych. Stawiano konkretne wnioski, zmierzające do upowszechnienia masowego uprawiania sportu w nowo budowanych osiedlach, zastanawiano się jak lepiej niż dotychczas organizować naukę wychowania fizycznego w szkołach.

Jako ostatni zabrał głos prezes LKS. Wszyscy oczekiwali, że jakby na deser, usłyszą o zamiarach i planach działalności zarządu jednego z najstarszych klubów w Polsce. Tymczasem zapanowała

ogólna konsternacja, gdyż pan prezes główny położył na swym wystąpieniu położył na... pouczanie prasy o czym nie ma pisać. Nie koniec na tym. Oświadczył ni mniej ni więcej tylko, że krytyka prasowa przeszkadza działaczom tego klubu w ich poczynaniach i szkodzi sportowi. W tym kontekście można było wyczytać, że chyba za wszelkie niepowodzenia LKS ponosi winę prasa sportowa, bo za dużo krytykuje. Operował ogólnikami i nie posłużył się konkretnymi przykładami na poparcie swoich wywodów. Gdyby wystąpienie tego mało jeszcze doświadczonego działacza nagrać na taśmę i odtworzyć ten głos w dyskusji, w zupełnie innym gronie, prosząc o rozszyfrowanie, kiedy takie przemówienie zostało wygłoszone — większość zapytanych z całą pewnością oświadczyłaby, że jest to mowa co najmniej z 1950 lub 1952 roku. Wyglądało tak jakby mówca przespał 15 lat — obecnie się obudził i zupełnie nie wie, że od tego czasu wiele się zmieniło w naszym kraju. Duch odnowy, który przechodził przez całą Polskę, jest najwidoczniej zupełnie obcą sprawą dla prezesa LKS. Aż przytko było słuchać z ust człowieka, który kieruje pracą klubu o takich tradycjach, że obca mu jest oczywista prawda, polegająca na tym, że rzeczowa i życzliwa krytyka zmierza jedynie do uzdrowienia schorzeń i umożliwia unikanie błędów w przyszłość.

Inna kwestia, że prezes LKS formułował recepty na poprawę pracy dziennikarzy. Osobiście nie poważyłbym się pouczać tego działacza, jak lepiej produkować

przedzę czesankową i jak kierować zjednoczeniem tej branży, gdzie kierują się dyrektorami — nie chcąc narazić się na zarzut imperytynencstwa.

Ponieważ prezes LKS przemawiał jako ostatni — podsumowująco dyskusję i sekretarz B. Koperski replikował mu z miejsca. Stwierdził, że jest to nieporozumienie. Nie wyobrażam sobie — oświadczył — by celna krytyka, podyktowana życzliwością — a taką kierują się dziennikarze sportowi — mogła komuś zaszkodzić. Przeciwnie, musi pomagać i wskazywać kierunki postępowania, by można było uniknąć błędów. Nikt od uzasadnionej i twórczej krytyki uchylać się nie może. Z tego co tu usłyszeliśmy — ciągnął mówca — jest wiele niedociągnięć, braków i błędów, na które należy zwracać uwagę i wytykać je na łamach prasy, kierując się wyłącznie dobrem sportu, a w żadnym wypadku osobistymi animozjami.

Nie dodać, nie ująć do tego stwierdzenia. Można jedynie zadeklarować, że łódzcy dziennikarze sportowi, od lat swymi enuncjacjami zawsze starali się pomagać działaczom LKS w ich trudnej nieraz pracy, a gdy krytykowali błędne postępowanie, to mieli jedynie dobro klubu i sportu na względzie.

I wreszcie na zakończenie można przypomnieć prezesowi LKS o pewnym charakterystycznym zjawisku. Doświadczenie uczy, że wszyscy ci, którzy nie lubią konstruktywnej krytyki, niesławnie kończą swoją karierę i w gorli nie odchodzą ze swych stanowisk.

ANDRZEJ GRUN

NORWID DLA ŁÓDZI

Po raz czwarty została przyznana w tym roku nagroda im. Kamila Cypriana Norwida, nagroda ufundowana przez Zarząd Sekcji Malarzkiej Warszaw-

skiego Okręgu ZPAP za najciekawszą ekspozycję w salonach stolicy. Nagroda ta przyznawana jest przez zespół krytyków, traktować ją więc należy jako nagrodę o charakterze par excellence krytycznym. Dziewięćosobowe jury pod przewodnictwem prof. Juliusza Starzyńskiego w składzie: J. Bogucki, Sz. Bojko, W. Borowski, E. Garztecka, W. Skrodzki, A. Turowski, W. Wierchowiska, A. Wojciechowski postanowiło w roku bieżącym przyznać to wybitne wyróżnienie ex aequo Zbigniewowi Gostomskiemu za wystawę w Galerii Foksal (z czerwca 1970 roku) pt. „Zaczyna się we Wrocławiu” oraz łódzkiemu malarzowi i grafikowi, profesorowi Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi, Stanisławowi Fijałkowskiemu za wystawę w Galerii Współczesnej.

Rozpatrzone 113 wystaw różnych grup artystycznych i ekspozycji indywidualnych, legitymujących się sprecyzowanym i wyraźnym programem artystycznym. Brani pod uwagę byli artyści, których dzieła udostępnione w formie ekspozycji w salonach stolicy wnosiły nowe, istotne wartości do polskiego życia artystycznego, stano-

wiąc zarazem ważny moment rewolucji twórczej samych artystów.

Fakt, że jednym z nagrodzonych jest właśnie Stanisław Fijałkowski, artysta mieszkający i tworzący w Łodzi, podnosi niewątpliwie rangę łódzkiego środowiska plastycznego, które i tak od wielu lat rysuje się wyraźnym konturem na mapie artystycznej naszego kraju, nie mówiąc oczywiście o tym, że stanowi bardzo konkretny i szlachetny wyraz uznania dla dokonań samego twórcy. Wystawa prac Stanisława Fijałkowskiego, na którą złożyło się zarówno malarstwo, grafika, jak i rysunek, była niewątpliwie punktem kulminacyjnym w jego działalności artystycznej, konsekwentnym i pełnym logiki etapem przebytej drogi twórczej.

Fijałkowski swoje oleje, rysunki, grafiki komponuje wedle zasad obowiązujących w zasadzie w abstrakcji geometrycznej. Każdy element tu, każdy znak ma swoje stałe, raz na zawsze ustalone miejsce jak na precyzyjnie narysowanej mapie wewnętrznych śpieć i przeżyć. Naruszenie układu rząz stworzonego grozi zniszczeniem wewnętrznej harmonii obra-

zu, całkowitym unicestwieniem dzieła tak jak katastrofę niesie najdrobniejszy błąd w konstrukcji mostu. Światem drugim, do którego sięga Fijałkowski, jest surrealizm, a raczej poetyka surrealizmu, poetyka czystego znaku. Mariaż geometrii z surrealizmem poetyckim daje w efekcie dzieła nabrałymi liryczną, przepelnione nostalgiami i zadumą, obrazy budzące refleksje i trudne do wyrażenia słowami tęsknoty. Dlatego właśnie porównanie z konstrukcją mostu nie jest przede mną wybrane przypadkowo. Surowość i prostota obrazów Fijałkowskiego, które działają nie symboliką form, nie literackością kształtów, a jedynie samą swoją naturą plastyczną, odkrywają przestrzeń i płaskość, głębię i czas, wyrosły w kręgu żywej wciąż tradycji Strzebińskiego, w klimacie łódzkiego środowiska, tak czulego w gruncie rzeczy na wszelakie przemyslenia awangardy.

Świadoma rezygnacja z balastu encyklopedycznej informacji, wiedzy i teorii (w realizacjach, oczywiście) na rzecz całkowitej ascezy pozwala Fijałkowskiemu wnikać w świat wewnętrzny, pozwala zachować dociekliwość moralisty, niepokój

człowieka myślącego i odczuwającego otaczającą rzeczywistość niezwykle głęboko. Pozwala zachować wrażliwość dziecka i magiczną delikatność najprostszyc, elementarnych odczuć ludzkich. Stąd połączenie pozornie nieporadności malowania z askakującą retrospekcją wewnętrzną, z biegłością graniczącą aż z perwersją w kreowaniu wizji, której prostota jest prawdziwa, a naiwność — pozorem.

Sledząc rozwój tego malarstwa z łatwością dostrzegamy uparty i żmudny trud nad ukształtowaniem zespołu nowych form znaczących, zdolnych przekazać nie tyl-

ko temperaturę wzruszeń i doznań, ale i logikę myśli. Te próby nowej semantyki wykorzystują z jednej strony ekspresję najprostszyc elementów: punktu, linii, koła, z drugiej zaś dążą do wydobycia sugestii znaczeniowej przez skojarzenie z wyglądem realnych zjawisk i przedmiotów. Tych przedmiotów realnych w ostatnich obrazach Fijałkowskiego jest coraz więcej. Pomieszane ze znakami, z obiektami trudnymi do rozszyfrowania, istniejące dzięki specjalnemu, malarzkiemu kunstowi, tworzą pełen magii i mistyki konterfekt naszego znajomego przecież świata.

Pamięci pomordowanych

24 kwietnia 1971 r. o godz. 12-tej, w budynku Sądu Powiatowego w Piotrkowie Tryb. (ul. Słowackiego 5), odbędzie się uroczystość poświęcona odsłonięciu tablicy pamiątkowej ku czci pomordowanych pracowników Wymiaru Sprawiedliwości i adwokatów Sądu Okręgowego w Piotrkowie Tryb. w latach 1939-1945. Na uroczystość tę uprzejmie zaprasza rodzina pomordowanych Komitet Organizacyjny i prosi o nadesłanie w możliwie szybkim czasie ankiet.

Kronika pomordowanych ukaze się oddzielnie drukiem.

Istoty wojen ludowo-rewolucyjnych i ich praw.

W wyniku tych tendencji w strategii USA, w drugiej połowie 1965 roku, na polach Wietnamu doszło do konfrontacji sił. W tym okresie wojska USA w Wietnamie osiągnęły liczbę 184300 ludzi. Okazało się jednak, że łatwiej było skupić siły i doprowadzić do przewagi w określonym rejonie, niż zmusić wojska NFW do przyjęcia bitwy. W wielkich operacjach marynarki, kawalerii powietrznej, spadochroniarzy oraz doborowych formacji sajońskich, nie doprowadzono do zasadniczego starcia. Tylko częściowo powiodła się operacja antypartyzancka w prowincji Phuoc Tuy, położonej między Sajgonem a morzem. Znacznie gorzej powiodły się operacje: „Gibraltar” (16.IX.65) na płaskowyżu środkowowietnamskim, operacja obronna pod Pief Me (19.X.-3.XI.1965), a także działania zaczepne w dolinie Ia Drang, prowadzone głównie przez I Dywizję Kawalerii Powietrznej.

Podobnie było z operacjami: „Texas”, „Mastiff”, „Masher”, „Wings” oraz „White”.

Już po pierwszych operacjach dowództwo amerykańskie w Wietnamie dostrzegło nie spadek sił NFW, lecz ich umocnienie. Wnio-

ski te były trafne. Narodowy Front Wyzwolenia przeciwstawił eskalacji amerykańskiej nowy zaciąg do armii w Wietnamie Południowym i przyjął posiłki z Północy. Dopyty nowych sił pozwolił NFW utrzymać inicjatywę w walkach i narzucać swoją wolę przeciwnikowi. W rezultacie tego osiągnięto wysoki wskaźnik zaczepności. Na sto bitew, 90 rozpoczynały w zasadzie oddziały NFW. W wyniku tego, planowane przez dowództwo wojsk USA wielkie operacje, rozpadły się na szereg małych potyczek, co powodowało duży ubytek krwi walczących oddziałów.

Inną stroną małych efektów walki oddziałów sajońsko-amerykańskich jest wadliwa ekonomia sił. Według klasycznych pojęć, rozważanych przez Lenina w pracy „Rady człowieka postronnego”, rewolucyjna ekonomia sił polega na maksymalnym zaangażowaniu jak największego procentu posiadanych wojsk w całokształcie bitew. Sztukę tę opanowano do perfekcji w wojskach NFW, co w znacznym stopniu zmniejszało przewagę wojsk sajońsko-amerykańskich.

Tymczasem wysoko technicznie rozwinięte siły ekspedycyjne USA posiadają bardzo niski wskaźnik efektywności w walce. Wynosi on

około 20 proc. Oznacza to, że na każde 100 tysięcy żołnierzy amerykańskich, zaledwie 20 tysięcy jest użytych w walce, reszta zaś musi ochraniać bazy, lotniska, drogi do woju i ewakuacji. W tej sytuacji wojska sajońsko-amerykańskie „rozpluwają się” w przestrzeni operacyjnej. Tak niski stopień efektywności nie może sprościć zadaniom w wojnie partyzanckiej, w której skuteczność techniki bojowej jest znacznie zmniejszona z powodu ruchliwości oddziałów NFW.

Zjawisko powyższe legło u podstaw decyzji zwiększenia ilości sił amerykańskich w Wietnamie. W styczniu roku 1967 liczyły one 385 tys., w rok później osiągnęły liczbę 500 tys., zaś w styczniu 1969 r. siły USA w Wietnamie wyniosły już ponad 540 tys. żołnierzy.

Oddzielnym problemem polityczno-militarnym wojny wietnamskiej była amerykańska próba „umieędzynarodowienia” tego konfliktu. Jednakże tylko cztery państwa zgodziły się na udział w tej niepopularnej wojnie. Korea Południowa wysłała 45 tys. żołnierzy, Syjam — 12 tys., Australia — 8 tys., Nowa Zelandia wzięła w wojnie zaledwie symboliczny udział. Posiłki te wpłynęły niewątpliwie na przewagę

liczbową, lecz nie zmieniły ogólnego położenia wojsk w działaniach bojowych.

Nie mogąc pokonać sił NFW, generałowie amerykańscy już w pierwszych miesiącach operacji wyciągnęli z oceny położenia błędne wnioski. Przeceniono wielkość sił przeciwnika, bowiem narzucał on inicjatywę w walce. Zatrącając realizm w swych spekulacjach, generałowie USA, z Johnsonem na czele, doszli do wniosku, że nie Południowy Wietnam jest bazą sił NFW, a ośrodki pozakrajowe. Głównym z nich miała być DRW. Myśl ta prowadziła wprost ku rozszerzeniu konfliktu na inne kraje Indochin. Postanowiono uderzeniami lotniczymi paraliżować siły DRW, by nie mogły one odplwąć na Południe. Strategia ta, mająca swój początek w wojnie koreańskiej (Mac Arthur planował odcięcie wybuchami jądrowymi dopływu sił do Korei z ChRL u podstawy półwyspu, by potem rozpocząć „wymiatanie” przeciwnika od północy) doprowadziła współcześnie do rozszerzenia konfliktu na obszary Laosu.

Jest to również błędna decyzja, gdyż bazą odradzającą siły NFW jest obszar i ludność Wietnamu Po-

łudniowego. Ośrodki pozakrajowe wpływają, oczywiście, na stan bazy, jednakże nie mogą o niej decydować.

Historia wojen zna dwa sposoby odcinania dopływu posiłków do bazy operacyjnej. Jednym z nich jest kordon wzdłuż granic. Jest to forma pasywna, kosztowna i mało skuteczna. Inny sposób, to niszczenie pozakrajowych ośrodków zasilańcych i ich dróg przewozowych. Jest to forma aktywna, lecz ryzykowna oraz brzemenna w możliwości wojny koalicyjnej. Możliwość takiego konfliktu zarysowała się obecnie w Indochinach w wyniku uderzeń wojsk sajońsko-amerykańskich na arterie Laosu Północnego w rejonie Sepone.

Zarówno technika kordonowa, jak również dążność do likwidacji pozakrajowych ośrodków zasilańcych w działaniach zaczepnych, w warunkach współczesnego położenia geopolitycznego Wietnamu, są trudne do zrealizowania. Najrozsądniejszym wyjściem byłoby uspokojenie umysłów narodu wietnamskiego w drodze realizacji reform społeczno-politycznych i wprowadzenie ludowładztwa. Na przeszkodzie temu stoją wsteczne siły Południowego Wietnamu i ich zamorscy protektorzy.

ROMAN LOBODA

„Delicji” ciąg dalszy

Jak się więc już przyrzekło, o „Królu Mięsopuszczeniu” będą deliberracje. Jarosław Marek Rymkiewicz niedawno parafrazował i imitował Hiszpanów. Z trzech imitacji, jak sam autor nazywa przyswajanie scenie polskiej utworów Pedro Calderona, najbardziej prowokujące twórczo okazało się „Życie jest snem”. Być może, jak to niektórzy sugerują, „Mięsopuszczenie” jest polemiką z Calderonem, który nasze ziemie uznał za odpowiednie miejsce do rozegrania mitycznej tragedii władzy. Rymkiewicz w zamian za to „podrzucił” Hiszpanom Florę i Kasie, słusnie uważając, że niby to uroda polskiej dziewuchy jest towarem eksportowym nie do odparcia, zaś „chłop potęga jest i basta”.

Tak więc, mając w pamięci tych zniewieściących władców hiszpańskich i szczyt tej „de — generacji”, Filipa — nie ulega najmniejszej wątpliwości, że plan musiał się udać. Jurny, rubaszny warchoł Florek wstał na tron hiszpański. — Jak u nas wieziono principe Segismundo na kajdanach przez tyle lat, to my u was osadzimy Florę, Kasie, Skoczka i Gębę. Skoczek — jak sama nazwa wskazuje — jest ruchliwy i po krzywym torze chodzi jak w sztachach, Gęba zaś, och, ileż to budzi asocjacji. Zdaje się Gombrowiczowi zawiądywać ten termin, który już w mowie potocznej prosperuje — wszedł pod strzechy: robić komus gębę.

Pierwsza część zemsty — polemiki dokonana.

Florek, krwisty żarłok i śpioch, niby ten przeszczerp zdrowy, miał wlać swą teźnyż w sfrustrowane króle-

stwo. Ot i perfidia, przecież Florowi nie rzady były w głowie. Złocisty nocnik i szerokie łoże, dużo żarcia i nienierobienie. Wnet odpędził Kasienkę, której obiecywał jedwabiste życie i jął się za Rosalindę, księżniczkę maltańską, jako że królowi z Kaśką nie przystoi. Kasia zaś stępnąca młocścią Filipa ujeta, poszła za nim w swej bujności ofiarną jak ziemia.

W warstwie fabularnej tak ta bujność polska w Hiszpanię się przelewa, ale w warstwie językowej jest chyba odwrotnie. Bogaty i jedyny jest rymkiewiczowski język. Cóż, nie poszła nauka w las: namiętne i bakchiczne sceny południa, festyny, igrze, karnawały — miesopust. Maski (Skoczek i Gęba), tłuste zady, hulaszczcze, sprośnawe zwroty — wszystko przebarwione nie stępnąca, ale kipiącą krwią średniowiecznego południa Hiszpanii. Rymkiewicz, finezyjny stylistą, drażący wprawdzie polską „starość”, ale wstrzemięźliwy i nieco ascetyczny, jakby sam nasiąkał tą calderonowską bujnością.

Autor osiągnął podwójny sukces: odegrał się na Hiszpanii i Calderonie i napisał sztukę przewrotną w jej krasie. Język sztuki bowiem prosty i rubaszny opiera się na sztucznym rusztowaniu dopracowanej precyzyjnie i poetyckiej elegancji; jest pełen aluzji i zgrabnych metafor.

Teraz zemsty za „Życie jest snem” część druga.

Rymkiewicz wyprawisz na dwór Filipa swojego Marchoła, Florę spaśnego, wiedział, że jest to i niepoń a walkoń przedni, że zaś cechy parobczackie niby zde-

rzył z uwagą przedwczesnym i znużeniem władzą króla Filipa; pod łożem zaś królewskim umieścił gapiów i zwykłych morderców jednak dybiących na każdego króla. Roberto wśród nich, a raczej nad nimi, tragiczny i śmieszny duch czy blazen historii, niedoszły morderca tyranów z gorzkich snów Słowackiego — widmo czy echo Stańczyka.

Ach łoże, jakże to niegodny obiekt dla klasyka, dla mędrca i purytanina, gdy nie służy sypialni, a tylko ganianiu za cudzą słabizną; minęły te czasy, gdy takie opinie teatrem rządziły.

Jeszcze jedno widziałem takie łoże „centralne”, w lecie na Wybrzeżu, na scenie gdańskiej, gdy grano „Ulissea” według Słowackiego, w reżyserii Huebnera.

Otóż nad łódzkim uniesionym łożem unosi się i pod nim buszuje chochoł niemożności.

Florek ęże i tyje, on kocha swobody. Mógłby przecie rządzić, nie on pierwszy przecie, poprzez długie lata i dziatek przysporzył, dynastie założyć niemrawej Hiszpanii, lecz jemu nie w głowie. Figiel marki przedniej ojczyźnie „Malagi”, króla znów przepędził, choć zdrowy i głupi, znowu dekadenta przywrócić tronowi — „idźcie do domu widzowie, ta farsa nigdy się nie skończy!” (Cytując z pamięci „epilog” autora).

Oto okrucieństwo, co nie miało miary. I jak żyć przyjdzie Hiszpanii po takiej konkluzji?

Tragifarsę Teatr Nowy zaczął próbować o ile pomnę, jesienią 1970 roku. Reżyser Tadeusz Minca „nie zrobił z niej miążgi”. Mało, przedstawiał ją czysto i klarownie, nie gubiąc ani plebejskiego humoru, ani piękna poezji, zawartej w tekście. Obsada niezwykle trafna. Bogusław Sochnacki jakby się urodził do roli Florę. Tak więc, bez przesady, najprostszymi środkami uzyskiwał zamierzone efekty. Był tak prawdziwie parobczaki, chytry i przyimilny, pokorny i niebezpieczny w swej szczerzej pozycie władcy, że nie dodać, nie ująć.

Ale, ale... weszli sobie z Kasją na scenę. Bardzo wdzięczne były te „podchody”, zaloty i sny o wielkości tej pary. A scena, jak liniane płótno i pusta — akt

stwarzania zabawy z niczego, prócz ludzkich słów i ruchu, zabawy w życie i teatr — i tu może nieco za dużo przypominania, że zabawa w teatr. Kasia jak ze wsi wyjęta; zagrać wdzięk i prostotę, naiwność i urodę ruchu, to Elżbieta Jasińska umiała. Bardzo ujmujące są wiejskie dziewczęta. Celną postacią Filipa stworzył Zbigniew Nawrocki. I fizycznie i głosowo i ruchowo utrafił w charakterologiczne założenia tekstu.

Również Zofia Grawiewicz z roli Rosalindy, księżniczki maltańskiej, wywiązała się bez zarzutu. Dała postać jędrną, chutliwą, a przy tym nie pozbawioną wdzięku hiszpańskiej grandezji.

Belinda — widziałem Barbarę Golebiewską — mocno zarysowana rola, z wyrazistą intonacją i ruchem.

Aleksandra Krasoń w roli Florindy raczej pastelowa; w innym typie dama dworu.

Ryszard Dembiński (Gęba) — obdarzony wrodzoną vis comica, sprawdził się i w „Mięsopuszczeniu”.

Na koniec osobne słowo o Izabelli Pięnkowskiej i Andrzeju Mayu. Oboje wchodzi z powodzeniem w genre ról charakterystycznych, a nawet komediowych, posiadając znakomite warunki do ról amantów, które z dużym powodzeniem grał. Cieszy wszechstronny rozwój talentów młodych aktorów.

Henri Poullain błysnął (znów) konceptem i sytuacyjną wyobraźnią, jego scenografia jest sporym wkładem do sukcesu aktorów, autora i reżysera Tadeusza Minca. Nie można również zapominać, choć można było, bowiem „Integralnie” była wtopiona w klimat i tło przedstawienia — o interesującej muzyce Romualda Twardowskiego.

Tak się rozgadałem o samej sztuce, że zapomniałem o morale sztuki, który to został wykrowany do tezy przewodniej trzech przedstawień. Morał trochę jak w „Mniszkach” tylko, że obrócony w zabawę i weselość. Tak się to wszystko obróciło, że zdjęcia z „Mniszek” przy „Mniszkach” nie było. Za to przy „Dobrocyńcy” może uda się w następnym numerze.



CZY WOLNO ZABIĆ?

Gdyby chodziło o wartość artystyczną, nie pisałbym o sztuce Petera Karvasa „Mała ankieta”, wystawionej w ramach Studia Współczesnego. Ten utwór telewizyjny słowackiego autora napisany jest nie najlepiej. Pasjonująca jest tylko sytuacja dramatyczna i jej przedłużenie promieniujące na autentyczne życie.

Problem eutanazji, czyli pozabawienia życia z litości, nie jest nowy, ale zawsze nurtujący ludzkość. Należy on do dylematów chyba nierozwiązalnych. A w każdym bądź razie nie poddaje się jakimś generalnemu rozstrzygnięciu.

W sztuce Karvasa matka zabija swoje trzyletnie niedorozwinięte umysłowo dziecko, w przekonaniu, że życie jego będzie jednym pasmem udrczeń. Prawo kwalifikuje czyn jej jako morderstwo, ale w jednostkowym odczuciu moralnym sprawa nie jest tak jednoznaczna. Dziennikarz telewizyjny, zbierający materiał do reportażu filmowego z tej sprawy, ulega sam ambiwalencji ocen. W rozmowach z obrońcami matki-zabójczyni atakuje eutanazję, a wobec oskarżycieli wyjawia się sam przejmować rolę obrońcy.

Jeden z rozmówców wspomina głośną przed kilku laty aferę z Talidomidem i Conterganem. Specyfiki te, używane przez kobiety w okresie ciąży, okazały się fatalne w skutkach. Po ich zastosowaniu zaczęły się rodzić dzieci kalekie, bez rąk lub bez nóg. Nieszczęśliwi rodzice (głównie w NRF) stworzyli rodzaj stowarzyszenia. Zbierał się, by wymienić doświadczenia z walki o stworzenie swym okaleczonym dzieciom warunków dla istnienia i rozwoju.

Nikt z rodziców ofiar Talidomidu i Conterganu nie myślał o eutanazji. Jednocześnie ich pragnienie utrzymania dzieci przy życiu i służenia im pomocą póki sił starczy. Czy niewinnienie matki-zabójczyni — zapytuje wspomniany rozmówca dziennikarza — nie stałoby się hasłem do dokonania rzeki na nieszczęśliwych kalekach w imię oszczędzenia im cierpień?

W sztuce Karvasa nie ma jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, czy matka miała prawo zabić swoje dziecko. Nie ma, bo i być nie może. Z tego powodu uważam nawet — choć zabrzmiał to jak paradoks — że znakomita gra Anny Cieplickiej w roli oskarżonej była z punktu widzenia problemu nie fair. To bardzo chciała nas aktorka wzruszyć i dać w ten sposób pierwszeństwo czynnikom emocjonalnym przed racjonalnymi.

Celu swojego aktorka nie osiągnęła. Misy od telewizorów, po nadaniu „Małej ankietki” w II programie TVP wykazały ten sam podział stanowisk, który towarzyszy, i towarzyszyć musi, każdej teoretycznej dyskusji na temat eutanazji. Stworzył przepis prawny, legalizujący eutanazję? Do jakich mogłoby to prowadzić nadużyć? Potępić matkę, która zabiła dziecko, a jednocześnie sama stała się człowiekiem wewnętrznie obumarłym z bólu? To wydaje się nieludzkie.

Telewizja wykorzystwała w wypadku „Małej ankietki” specyficzną cechę swej struktury: intymny kontakt między małym ekranem i widzem. Po spektaklu omówiła listy widzów red. Halna Mroszowa. Wytrwała dziennikarka telewizyjna podeszła do węzłowego problemu dyskusji z całą ostrożnością i umiarem. Zrezygnowała z góry z forsowania jednego z dwóch możliwych punktów widzenia, każdemu przydzielając należny „część zaciągnięć”, kończąc komentarz agnoscącym „nie wiem”.

Jeżeli więc spektakl Karvasa uważam za trafną pozycję Studia Współczesnego, to ze względu właśnie na oddanie głosu także drugiemu, wielkiemu partnerowi dialogu: telewizywni. Przemówiła ona żarliwymi i głęboko zaangażowanymi w sprawę listami, wykazała wrażliwość i uczulenie na skomplikowany problem etyczny i moralny. Gdy współczesny świat niesie tyle przejawów brutalności, okrucieństwa i braku skrupułów, dyskusja, jaka rozwinęła się wokół „Małej ankietki”, napawa optymizmem.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

LISTY do REDAKCJI

PANIE REDAKTORZE!

Pański felietonista Cwiek żalił się, że nigdzie nie może zdobyć książki Zegadłowicza — „Pokój dziecinny” oraz powieści Mussoliniego. Nie ma ich w żadnej spensretowanej przez niego bibliotece w kraju. Szkoda, że p. Cwiek szukał tak daleko skoro obie pozycje są w katalogu łódzkiej Biblioteki Uniwersyteckiej. — (druga po niemiecku i rosyjsku).

Nie zatrzymywałbym się nad tą sprawą gdyby nie była objawem częstego na naszym terenie braku zaufania do naszych księgozbiorów. Wy tam na pewno nie macie! Prawda jest, że biblioteki w Łodzi nie były rozpieszczane, ale konsekwentna polityka gromadzenia pozwoliła na stworzenie zbiorów, które są godne uwagi. Może to wina zarówno nas bibliotekarzy jak was Dziennikarzy, że łodzianie wiedzą tak mało o skarbach kryjących się w naszych księgozbiorach? Z poważaniem oczekujący

wizyty Pana Cwieka w Bibliotece

dr Janusz Dunin

SZANOWNA REDAKCJO!

Może Czytelników Waszej rubryki „Kto? co? kiedy?” — relacje, niedyskrecje” zainteresuje następująca wiadomość.

Kilka miesięcy temu radiowska firma „Melodia” wydała album 2 płyt gramofonowych (długogrających) z nagraniami rosyjskiej muzyki chóralnej XVI—XVIII w. (DO22917-18 i DO22919-20). Chóralna muzyka tego okresu to przede wszystkim utwory religijne. Płyty zawierają m. in. kompozycje cara Flodora („Dostojno”), Mikołaja Dileckiego („Uroczysty śpiew” — 4-głosowy), Mikołaja Kalasznikowa (koniec XVII — pocz. XVIII w.) „Pieśń cherubinów”, a także utwory nowszych, osiemnastowiecznych kompozytorów: Maksyma Bieriezińskiego, Dymitra Bortnianskiego i Artemusza Wedela. Nagrań dokonała Rosyjska Republikańska Chórowa Kapela Akademicka pod kierownictwem A. Jurlowa. Ponieważ ten gatunek muzyki ma u nas licznych miłośników, dobrze byłoby, gdyby „Ars Polona” sprostowała dla naszych sklepów z płytami pewną ilość tych pięknych nagrań znowu odkrytej muzyki cerkiewnej.

Marek Cybart

Rawa Mazowiecka

SZANOWNY PANIE

REDAKTORZE!

Bardzo sobie cenię reportaż pana Binkowskiego. W jednym

z ostatnich numerów „Odgłosów” przeczytałem ciekawy tekst o inżynierze-racjonalizatorze. Uważam, że reportaż napisany był świetnie, z dużą znajomością rzemiosła reporterskiego. Dziwi mnie tylko to, że tak pozytywny bohater, został w tym reportażu potraktowany anonimowo. Przecież jego całe życie jest czymś niezwykłym i nietypowym. Oczywiście, przejechał ze wsi do miasta, a nawet zajęcie wysokiego stanowiska, jest znane w obecnym czasie, istotne jest jednak to, w jaki sposób i jaką drogą dochodził się do awansu społecznego.

Droga bohatera była bowiem ciekawa i nietypowa.

Moim zdaniem czytelnik pragnąłby poznać dokładniej bohatera, gdyż jego życie i jego postać mogłaby służyć pretendo- wać do miana Łodzianina np. roku 1971. Nie wiem, czy anonimowość wynika z winy reportera, czy ze skromności bohatera. Nie sądzę bowiem, aby obecny inżynier miał coś do ukrywania ze swojej pięknej, ale trudnej drogi życiowej, lub też wstydził się swego pochodzenia, czy też realiów wiejskiego dzieciństwa. Zaznaczam, że nie mam pretensji do autora, gdyż reportaż napisany był żywo, zwracając i czytalem go z dużym zainteresowaniem.

Łącząc serdeczne pozdrowienia

Jan Bożyk

SZANOWNY PANIE

REDAKTORZE!

Z uwagą przeczytałem „głos w dyskusji” Stanisława Kaszyńskiego, a następnie zabrałem się do lektury „War-

szawskiego notafnika kulturalnego”! I tu zaczęło się coś rwać, moją uwagę zwrócił niepokój. Byłem bowiem świeżo przekonany, że p. Jacek Frühling przełamał złą passę polskich dziennikarzy i w końcu poda nazwiska tłumaczy omawianych sztuk. Tymczasem... No właśnie! Znowu ten sam błąd. Przemilczanie wcale ważnego faktu. Czyżby jeszcze jeden wyraz „nagminnego niedoceniania pracy tłumacza”?

Chyba jakieś nieporozumienie, względnie niedopatrzenie. Bo, skoro drukuje się w jednym numerze „Odgłosy”, nr 10 (694), 7. III 1971 r.) wypowiedź związaną z pracą translatorską i jej niedoskonałościami, a na następnej stronie już się o tych błędach (recenzentów) wspomina, to jest tu ktoś niedokładny (może być: winny). Pozornie małe przeoczenie. A przecież chyba stać „Odgłosy” na uniknięcie tego typu usterek? W przeciwnym razie problem niedoceniania roli tłumacza będzie znowu kością literackiej niezgody.

Dla czytelnika ważne są nie tylko nazwiska reżyserów i aktorów, którzy chwilami wręcz świetnie radzą sobie z taką czy inną rolą, że sparafrazują określenie p. Frühlinga, ale interesują nas też nazwiska tłumaczy. Sądzę, że tego od recenzentów mamy pełne prawo oczekiwać. Jedno nazwisko więcej recenzji, naprawdę nie zaszkodzi.

Ludwik Gadziński
Kraków

(oprac. J. KALUŻKA)

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

MORAVIA, DON KICHOT I SANCZO PANSA

Kogoś kto zna powieść Alberta Moravii pt. „Uwaga” (wydana u nas w tłumaczeniu na polski w roku 1968 przez „Czytelnika”) nie zadziwi fakt, że sześćdziesięcioletni, jeden z najwybitniejszych powieściopisarzy włoskich, wydał ostatnio książkę, której tematem jest Seks (i to przez duże S.).



Alberto Moravia

Powieść, którą Moravia pisał w ciągu pięciu lat, liczy ok. 400 stron. W ciągu pierwszych czterech tygodni od ukazania się jej na rynku księgarskim została rozprzedana w ilości 45 tysięcy egzemplarzy. Wszystko wskazuje na to, że i nadal będzie rozchwytywana. „Don Kichot jest śmieśzną — mówi Moravia — ponieważ potraktował poważnie opowieści rycerskie, ja zaś potraktowałem na serio Freuda i to stworzyło komizm mojej powieści. Dualizm między Don Kichotem a Sancio Pansą odzwierciedla się także w „Io e Lui”.

„Io e Lui” (Ja i On) — taki jest bowiem tytuł najnowszej powieści Moravii. Kim jest ten „Ja”? Przejmujący intelektualny inteligent, który zapoznawszy się z dziełami Freuda (dość powierzchownie i pobieżnie

— jak to zauważa krytyka) pragnie sublimować swe potężne, naturalne skłonności by nie być sługą i niewolnikiem seksualizmu. Uprawiając ascezę odchodzi nawet od swej żony. Kim jest zaś „On”, ów Sancio Pansa? Tego nie trzeba domyślnemu czytelnikowi zbytnio tłumaczyć. (to jest po prostu penis). „Ja”, bohater powieści Moravii prowadzi długie, wielostronowe rozmowy z

SZKOŁA IMIENIA CZIURLONISA

Jak informuje czasopismo „Sowiecka Kultura” w Wilnie działa średnia szkoła artystyczna nazwana imieniem litewskiego kompozytora i malarza, Mikolaja Konstantego Cziurlonisa. Szkoła ta łączy w sobie trzy różne kierunki artystyczne — malarstwo, muzykę i choreografię, przy założeniu, że dopiero jednocześnie kształcenie w tych trzech kierunkach może pozwolić na wszechstronny rozwój talentów. Nie jest przypadkiem, że taka szkoła nazwana została imieniem Cziurlonisa. Był on bowiem w jednej osobie utalentowanym malarzem i wybitnym kompozytorem, który pracował nad przełożeniem środków wyrazu malarstwa na język muzyki i na odwrót. Tytuły jego utworów muzycznych łączy w sobie elementy wizualne i dźwiękowe jak np. „Las”, „Morze”, zaś swe obrazy nazywał jak utwory muzyczne np. „Sonata piramid”, „Andante”, „Allegro”, „Scherzo”.

upartym, nieposłusznym dwadzieścia pięć centymetrów długim dowodem swej męskości. I „Ja” doznaje całkowitej klęski. Oto staje przed drzwiami swego mieszkania, w którym oczekuje go żona, Fausta, przyprowadzony przez zwycięskiego i triumfującego Sancio. Zamierzamy lepiej, ze względu na nieletnich czytelników „Odgłosów”, czym kończy się ta scena gdy stęskniona Fausta otwiera wreszcie drzwi.

Krytyka nie jest bynajmniej powściągliwa. Recenzent z „Messaggero” wyraża pewne zdziwienie, że jeden z najwybitniejszych powieściopisarzy włoskich pięć lat pracował nad powieścią, która nie jest bynajmniej dziełem geniuszu i dodaje, że autor trudził się aby napisać książkę zabawną, która jednak nikogo nie jest w stanie pobudzić do śmiechu.

ske jak i muzyczne. Bieżyście często żywy udział w litewskim życiu kulturalnym.

Zmarł w wieku lat 36 pod Warszawą. Pochowany został w Wilnie. Dopiero po śmierci został sławny i dziś jest już to sława światowa, zarówno kompozytora jak i artysty malarza.

W Kownie istnieje muzeum estyki im. Cziurlonisa; a w końcu roku 1969 dobowano nowe pawilony dla lepszej ekspozycji dzieł tego artysty.

GRETA GARBO „W POSZUKIWANIU STRACONEGO CZASU”

Luchino Visconti nakręca film na podstawie słynnego dzieła Prousta i w poszukiwaniu straconego czasu”.

W filmie tym wystąpi sławna niegdyś aktorka filmowa Greta Garbo. Zagra ona krótką scenę w roli Marii Zofii królowej Neapolu.

ILUSTRACJE PICASSA SPRZED 70 LAT

Twórczość dziś już 90-letniego Pabla Picassa stanowi wciąż interesujący temat dla historyków sztuki i badaczy jego geniuszu. W połowie sześćdziesiątego roku prasa francuska publikowała szereg reprodukcji dzieł Picassa i młodzieńczych rysunków Picassa do czasów jego wyjazdu z Hiszpanii do Paryża, gdzie rozpoczął się nowy etap w twórczości artystycznej malarza.

Obecnie pracownik badawczy wyszukał ilustracje jakie Picasso sporządził dla dwóch pism paryskich „Frou-Frou” i „Gil Blas” siedemdziesiąt lat temu. Od tamtych czasów zostały one przypomniane po raz

pierwszy. Publikuje kilka z nich tygodnik „Les lettres françaises”. Ilustracje podpisane są Ruiz, bo jak wiadomo jest to właściwe nazwisko Picassa.

W grafice jaką zamieszczał w paryskich pismach w pierwszych latach dwudziestego wieku, odbija się przede wszystkim to wrażenie jakie na dziewiętnastoletnim malarzu wywarł Paryż z jego kabaretami. Dokładnie trudno jest stwierdzić daty powstania poszczególnych ilustracji. Picasso w pierwszych latach po roku 1900 dwukrotnie przebywał w Paryżu, wyjeżdżając między tymi pobytami do Hiszpanii. I tak np. rysunek w jednym z numerów „Frou-Frou” z dnia 25 lipca 1902 roku musiał być sporządzony znacznie wcześniej,

gdy Picasso w tym czasie przebywał od sześciu miesięcy w Barcelonie i powrócił do Paryża dopiero w październiku. W przerwie między pobytami paryskimi założył w Madrycie czasopismo „Arte Joven”, które sam ilustrował.

Warto wspomnieć, że pierwszym mistrzem Picassa w przygotowaniu ilustracji był Steinien, artysta, który z zamiłowaniem i wielką umiejętnością robił wiele rysunków do satyrycznych czasopism.

Wyszukiwanie ilustracji Picassa w pismach sprzed blisko siedemdziesięciu lat jest ważnym przyczynkiem do poznania dróg rozwoju geniuszu tego dziś sędziwego, a jakże sławnego malarza — Pabla Picassa.



Rysunki Picassa, zamieszczone w piśmie „Frou-Frou” z dnia 14 września 1901 roku

Bez strachu

KAMIENNY ŚWIAT

Znowu podnoszą się niebezpieczeństwa i przez nikogo nie wybrani, byż tak o kamiennym świecie. Przed laty wykazano dowodnie i udowodniono kazań, że świat nie jest kamienny. „To, co uznawaliśmy za trwałą gruda, przekształca się w ustawicznym wirze, jest ośrodkiem i produktem energii (czyjże?)”. „Ta szklanka — grzałka ten czy ów karnodzieja — ciekawe, mówiąc marginesowo, że karnodzieje tamtych lat ustawicznie powoływali się na szklanki, bądź na kiełiszki, ta szklanka, ten kiełiszek to wir, że tak powiem, to energia, że tak powiem — eee!... coż będę mówił, lepiej wypiję”. Tak to kazali karnodzieje energii, słuchano ich chętnie i nagradzano obficie. Tak czy inaczej — wyjaśnili nam, że świat jest podległy ustawicznemu przekształcaniu energii. Tak ułotniła się gruda, kamień jako krańcowa postać grudy. Istniały naprawdę jeszcze kamieniolomy, lecz mało kto wierzył w kamienie. „Świat nie jest kamienny. Świat jest energetyczny”. „Coż więc myżamy w kamieniolomach?”. „Zamieciecie w kamieniolomach energię i lamie ją niespokojnie dalej”. Otóż prorocy kamiennego świata powstają niebezpiecznie i pokatnie — wcale nie grzmia, mówią cicho, prawie szeptem, mówią cicho i słodko i mówią tak: „Kamień, najmiłsi i malutki, istnieje naprawdę jako gruda skrajna, jako gruda grudowata i ostateczna. Oto trzymamy w ręku kamień, każdy może go zważyć, a niejedyn, uczciwszy uszy najmiłsi w kamieniu, dostać po łbie. Tylko do czasu nas nie zdradzajcie — nie jesteście bowiem pozornie prorokami, lecz podreferentami, młodszymi księgowymi, nabrzmiałymi prawdą ekspedientami, natchnionymi inkasentami, chodź więc o to, byśmy, zanim co, nie utracili tych stanowisk, na których składają musimy oficjalne obłaty przed balwanem energii — balwanem, który, niestety, wcale nie jest kamienny, lecz energetyczny i, niestety, dostatecznie energetyczny, aby nas wylać z posad, które wcale nie są posadami świata, lecz takimi sobie posadkami”. Tak każda etniczność niejedni z nielicznych, ich hasło: „Kamień” — ich odzew „Gruda”. Szepczą: „Ufajcie, kamienny świat się przybliży” i opuszczają nielicznych wyznawców, aby referować, młodszymi księgowymi, inkasentami. Tu i ówdzie były dane znaki — oto kiełiszek upadł z ręki proroka (znowu kiełiszek i oni dają znak kiełiszkami) i potłukł się (gdzie była energia przeciw upadkowi i przeciwna potłuczeniu). Ja tam nie jestem prorokiem, nie każe, nie daje znaków, nie przybliżył kamiennego świata. Nie myślę prosto — dońś się. Ale coż toż zrobić w Energii? Nie. A kamienny świat się przybliży mimo, że nieliczni prorocy tylko szepczą, a kamienie, zimne i ciężkie i niezmiennie, ostatecz- nie... brrr...

BERNARD SZTAJNER



FELIETON Z MAMOTREPEM

MADRE SŁOWA — TEKST Z MAKARONIZACJĄ — ENIGMATYCZNE KONFIGURACJE — LEKSYKALNA GASKONADA — CZTERDZIEŚCI PRZYPISÓW — CO TO ZNACZY IBIDEM?

Czytam gazety i dowiaduję się, że eskalacja¹⁾ i alienacja²⁾, konsolidacja³⁾ i antycypacja⁴⁾, że konsonans⁵⁾ w stosunkach politycznych i trend⁶⁾ w tendencjach⁷⁾ transfiguracji⁸⁾... Kiedyś nawet w notatce z występów pewnego zespołu muzycznego przeczytałem, że percepcja⁹⁾ interpretacji¹⁰⁾ była... nieważna jaka, ale mądrze to napisano.

Otóż, proszę państwa, nie będę powtarzał po raz setny (byli inni przede mną, będą inni po mnie), że przetykanie polszczyzny zwrotami obcojęzycznymi, nie przydaje tekstom głębi, lecz je zamazuje. Nie będę wołał o umiar, tylko udowodnię, że ja też potrafię, że, ho, ho... Enigmatyczne¹¹⁾ konfiguracje¹²⁾ stylistyczne powodują efektywną¹³⁾

ewaporację¹⁴⁾ sensu. Bez wątplenia alearują¹⁵⁾ i deranzują¹⁶⁾ istotne treści. Mentalna¹⁷⁾ dewiacja¹⁸⁾ autorów eksponujących¹⁹⁾ emfaticznie²⁰⁾ styl rodzi neutralizację²¹⁾. Remonstracja²²⁾ za pomocą paronomazji²³⁾ pseudoscientyficznego²⁴⁾ jest par excellencje²⁵⁾ pustą gaskonadą²⁶⁾ leksykalną²⁷⁾...

Bo coż nam po informacji, że ekipa²⁸⁾ etranżerów²⁹⁾ z insolencją³⁰⁾ i prematuralną³¹⁾ euforią³²⁾ eskamotowała³³⁾ adornalne³⁴⁾ elementy³⁵⁾ kolumny Trajana w Rzymie? Co prawda takiej (dosłownie) informacji jeszcze nie czytamy, ale niedaleko nam do czasów, gdy podobne tajemnice makaronizmów³⁶⁾ będą naszym chlebem (zakalcem?)³⁷⁾ codziennym. Mówi się powszechnie,

że „Ulisses” Joyce’a jest trudny. Bogać tam! „Miększa broda: miększy pędzel, gdyby umyślnie pozwolił mu spojrzeć w zbitej pianie między dwoma ogoleniami: miększa skóra, gdyby niespodzianie napotkał znajome kobiety w odludnych miejscach o niezwyklej porze: spokojne rozmyślenia o milionym dniu: uczucie, że jest czystszy, gdyby zbudził się po bardziej pokrzepiającym śnie”³⁸⁾. Przecież to piękna, klarowna proza przy tamtej eskalacji belkotu! I czy ów belkot jest w stanie czytelnikowi cokolwiek eksplikować³⁹⁾?

Mamotrept 1

1) nasilanie, wzmaganie, potęgowanie (Słownik Wyrazów Obcych WP-1967, str. 223); 2) wyobcowanie (ibidem, str. 41); 3) zjednoczenie, połączenie (ibidem, str. 403); 4) wyprzedzanie, przewidywanie, zakładanie czegoś jeszcze nie istniejącego (ibidem, str. 57); 5) współbrzmienie (ibidem, str. 402); 6) ogólna, przeważająca tendencja, ogólny kierunek rozwoju, zmian, kierunkowy ruch opinii społecznej ku czemuś (ibidem, str. 775); 7) skłonność, dążność, inklinacja, dyspozycja psychiczna, kierunek rozwoju, trend (ibi-

dem, str. 753); 8) przeobrażenie, przeistoczenie (ibidem, str. 770); 9) ostrzeżenie, sposób reagowania, odbierania wrażeń (ibidem, str. 573); 10) wykładnia, wyjaśnienie, sposób odtworzenia, wykonania utworu muzycznego, zagrania roli (ibidem, str. 340); 11) zagadkowe, tajemnicze (ibidem, str. 214); 12) ukształtowanie, układ (ibidem, str. 398); 13) skuteczna, sprawna, istotna, rzeczywista (ibidem, str. 190); 14) ulatnianie się (ibidem, str. 229); 15) mieszają (Słownik Hiszpańsko-Polski WP-1968, str. 15); 16) przeszkadzać, kępować, sprawiać zamieszanie (Słownik Wyrazów Obcych WP-1967, str. 165); 17) umysłowość (ibidem, str. 479); 18) zбочenie z drogi, odchylenie od właściwego kierunku (ibidem, str. 168); 19) prezentować, wystawiać na pokaz (ibidem, str. 203); 20) napuszony, nadepty, przesadny (ibidem, str. 210); 21) zobojętnienie (ibidem, str. 514); 22) perswazja, argumentowanie (ibidem, str. 647); 23) gra słów (ibidem, str. 559); 24) niby naukowość (ibidem, str. 678); 25) w całym tego słowa znaczeniu (ibidem, str. 558); 26) chępliwość, bufonada (ibidem, str. 270); 27) wy-

razowy, odnoszący się do słownictwa (ibidem, str. 437); 28) zespół ludzi, grupa (ibidem, str. 199); 29) cudzoziemiec (ibidem, str. 227); 30) bezczelność, zuchwałość (Słownik Hiszpańsko-Polski, WP-1968, str. 183); 31) przedwczesny (ibidem, str. 246); 32) dobre samopoczucie, nadmierna wesołość, poczucie szczęścia (Słownik Wyrazów Obcych, WP-1967, str. 228); 33) zrzęcznie ukryć, skraćć, ściągnać (ibidem, str. 223); 34) ozdobne (Słownik Hiszpańsko-Polski, WP-1968, str. 9); 35) składowa część całości, składnik (Słownik Wyrazów Obcych, WP-1967, str. 207); 36) obcy wyraz, zwrot wpleciony w tekst pisany w języku ojczystym (ibidem, str. 460); 37) James Joyce „Ulisses”, Wyd. PIW-1970, str. 703); 38) wyjaśniać, tłumaczyć, uzasadniać (Słownik Wyrazów Obcych, WP-1967, str. 202).

Mamotrept 2

1) Mamotrept — słowniczek, wyjaśniający trudniejsze wyrazy i formy tekstu (Słownik Wyrazów Obcych, WP-1967, str. 463). 2) ibidem — tamże (ibidem, str. 317).

JERZY WIDOK

RYZYKO

Było ciepło popołudnie. James zatrzymał auto i zaczął obserwować kobiety, które zostawiały samochody na parkingu przed domem towarowym. Nie wzbudzał podejrzeń, był elegancko ubrany, mógł uchodzić za męża, który czeka na żonę załatwiająca sprawunki w sklepie.

Przyjrzał się kilku kobietom. Jasna blondynka w średnim wieku wysiadła z Cadillaca. Zainteresowała go jej wielka torba, lecz pani wyglądała na osobę słabą, delikatną, może była chora na serce, mogła się łatwo przerazić... Nie, tego sobie nie życzył. Niedługo zjawiała się wysoka brunetka, lecz miała postawę atletki — ta mu też nie odpowiadała.

Dokonał wyboru dopiero po godzinie. Kobieta wysiadła z czerwonego Buicka. Mogła mieć około czterdziestu lat, gustownie ubrana, zapewne mężatka — pomyślał — twarz ładna z wyrazem pogody. Miała na pewno pieniądze, życie bez kłopotów...

Udał się za nią, zaczekał, aż weszła do domu towarowego, a potem wrócił. Wsiadł do swego samochodu i skierował go na puste miejsce obok Buicka. Teraz czekał cierpliwie.

Uplynęła godzina. Kilka minut przed 17 nieznaną wyszła ze sklepu. Zbliżając się do samochodu nuciła wesoło. Mężczyzna poczekał aż znalazła się między dwoma samochodami. Nim zdążyła wejść do czerwonego, otworzył drzwiczki swego auta i zatarasował jej drogę. Kobieta zmarszczyła brwi i rzekła chłodno: — Pan wybaczy, ale chciałabym wejść do mojego wozu.

— Wsiadźcie pani — się do mojego — odparł pokazując rewolwer.

Był to moment krytyczny. Kobieta mogła odwrócić się i uciekać, nie ośmieliłby się biec za nią i strzelać. Mogłaby też krzyczeć, a on musiałby szybko odjechać, aby nie zauważyła numeru samochodu. Lecz tak się nie stało, kobieta zmartwiała z przerażenia.

— Proszę wejść! — powtórzył rozkarującym tonem. Wskazał jej rewolwerem miejsce obok kierowcy. Kobieta wsiadła. Twarz miała trupio biała, ręce

jej drżały. Utkwiła wzrok przed siebie.

Zapalił motor, samochód wyjechał z parkingu, nikt nie zwrócił na nich uwagi. Uplynieło piętnaście minut, żadne z nich nie mówiło. Zbliżał się ku peryferiom miasta, ruch na ulicach był coraz mniejszy.

— Teraz proszę się położyć! — powiedział James. — Nikt nie powinien pani zobaczyć.

Kobieta wypełniła rozkaz. James wjechał na boczną uliczkę, pchnął drzwi garażu, które przedtem zostawił otwarte, potem zgasił motor, wysiadł i zamknął garaż od wewnątrz.

Zapalił światło w samochodzie, kobieta jeszcze leżała. — Może pani teraz usiąść — oświadczył.

Postuchala go jak mechaniczną laika. Kapelusze jej się przekrzywił, nie była już tak elegancka jak przed godziną.

— Czego pan chce ode mnie? — zapytała ochryplym szeptem.

— Proszę mi dać torebkę.

Podala mu bez słowa. Wewnątrz były trzy banknoty dwudziestodolarowe i portfel. Wsunął pieniądze do kieszeni i zajął do portfela. — Mistress Lucille Roth — przeczytał głośno, oglądając prawo jazdy. — Czy to pani nazwisko?

— Tak, moja.

— Roth, gdzie to słyszałem. Czy nie handluje samochodami?

— Tak, Moim mężem jest Peter Roth.

— Dzieci?

— Mam dwoje, siedmioletnia dziewczynka i trzyletni chłopiec.

Słuchał z uśmiechem. — Czy ma pani przy sobie kliefoty?

Zdjęła z palców obrączkę i pierścionek z brylantem. Następnie podala mu koleczyki i zegarek.

— Czy to wszystko? — zapytała.

— Tak, wszystko. Czy mogę teraz odejść?

Potrząsnął głową przecząco. — Nie zadabym sobie tyle trudu, aby wziąć tylko te sześćdziesiąt dolarów i trochę biżuterii.

— Co pan chce jeszcze? Mąż nie ma zbyt wiele pieniędzy, lecz mógłby w razie konieczności postarać się o kilka tysięcy. Napiszę do niego, lub zatelefonuje, jak pan woli. Przecież chodzi panu o pieniądze, prawda?



Fot. W. Parys

— Pieniądze to jeszcze nie wszystko. Proszę wyjść z samochodu. — Otworzył bagażnik.

— Wejść tu do środka! — rozkazał.

Po raz pierwszy zawałała się.

— Dlaczego mam to zrobić?

— Zrobiłem w podłodze otwór, nie ma obawy, aby się uduśiła. A teraz wchodź, szybko! Oświetlił lampką elektryczną ciemne wnętrze. Wsuwała się tam powoli, niezręcznie, Rozdarta pończochy, zgubiła pantofel.

Chciało mu się śmiać, jaki komizm widok! Elegancka dama w futrze bledła się, aby wejść do zakurzonej nory!

Wyjął z kieszeni pudełeczko, otworzył i pokazał czerwoną pastylkę. — Weź ją, Lucy, za-

raz usniesz — sztychł.

— Boję się — wyszeptala.

— Uważaj, albo pigułka, albo uderzenie rewolwerem w głowę! — groził.

Połknęła z trudem pigułkę.

— A teraz odchodzę, przyjdę tu jutro rano, mieszkać w pobliżu. Ostrzegam cię, jeżeli spróbujesz hałasować, nie wyjdiesz stąd żywa!

Z wyrazu jej twarzy widział, że uwierzyła. Był pewny, iż dalej będzie mu posłuszna. Wiedocześnie jeszcze się zdziła. Rozesmiała się — o nie, nie było dla niej żadnej nadziei.

Opuścił przykrywkę bagażnika, zamknął go na klucz i wyszedł na powietrze. Było już ciemno. Zapalił papierosa, palił jednego

po drugim... Prawdopodobnie rodzina już na nią czeka, niedługo mąż zacznie telefonować do przyjaciół. Potem wezwie policję, opowie, że żona załatwiła sprawunki w domu towarowym... Znajdą samochód na parkingu... Lecz prawdziwą rozrywką zacznie się jutro.

Po godzinie zajął do bagażnika. Lucy leżała nieruchomo i oddychała ciężko. Wiedziała, że tak będzie do rana. Zamknął bagażnik i udał się do domu.

— Gdzie byłeś? — zapytała go siostra.

— U Jima — odpowiedział. Zrobił sobie kilka kanapek, wypił butelkę piwa i nastawił telewizor. Poczul się rozczarowany, gdy w ostatnich wiadomościach

nie wymieniono nazwiska Lucille Roth.

Poszedł jeszcze zajrzeć do bagażnika: wszystko w porządku. Mniej cierpliwość — upominał siebie. Ktoś inny zabity ją teraz i gdzieś pogrzebany... To byłoby zbyt łatwe, śmiesznie łatwe...

Wrócił do domu i położył się spać. Gdy się obudził było już późno, prawie 9 godzina. Zjadł śniadanie. Radio podało krótką wzmiankę, że najaką Lucille Roth zaginęła. Przybywszy do garażu James otworzył bagażnik. Kobieta już się obudziła. Widocznie płakała, na policzkach widniały brudne ślady łez.

— Pięć mi się chce — szepnęła ochryplym głosem. — Czy mogę dostać trochę wody?

— Może później. Nie chcę, abyś miała zbyt wiele sił.

Utkwiła w nim wzrok z niemyim zapytaniem: — Teraz pojedziemy na miejsce, które jest ci znajome — wyjaśnił z zadowoleniem. — Więc mogłaby ci przyjść chęć na krzyczenie, aby zwrócić uwagę. Lecz pamiętaj! Wystrzelę wszystkie naboje, podzuarawie bagażnik, nie będziesz nawet wiedziała, co się z mną stało.

Przyglądał się kobiecie, jej odpowiedź wyczytał w twarzy, wiedział, że nie będzie krzyczała. Chciała żyć, zobaczyć jeszcze męża i dzieci.

Zamknął bagażnik i usiadł przy kierownicy. Jechał z umiarkowaną szybkością, pilnując przepisów. Nikt nie powinien wiedzieć, że nie jest sam. Odnalazł dom Rothów bez trudności. Przed bramą stały dwa wozy policyjne. Podjechał powoli i zatrzymał się po drugiej stronie ulicy, naprzeciw patrolu. Policjant w samochodzie przyglądał się przez chwilę nowo przybyłemu a potem słuchał dalej radia.

James odetchnął swobodnie. Oglądał dom z zainteresowaniem, doprawdy czarujące miejsce. Tak, Lucy żyła sobie wygodnie...

Uplynęło prawie pół godziny i nic ciekawego nie zdarzyło się. Zapewne policjanci są wewnątrz domu i badają Petera Rotha: czy jest jeszcze jakieś miejsce, dokąd mogła się udać pańska żona? Czy była zupełnie zdrowa? Czy miała nieprzyjadłość?

Jakie to wszystko komiczne — myślał James.

Wysiadł z samochodu kierując się w stronę policjanta. Szedł krokiem powolnym, obojętnie.

— Czego pan sobie życzy? — zapytał uprzejmie policjant.

— To jest chyba dom Rothów, prawda? Dowiedziałem się z radia, że pani Roth zniknęła.

(DALESZY CIĄG NASTĄPI)



Lewym okiem

KSIEŻYCOWE SPACERY

Dom na warszawskim Powiśiu, w którym się urodziłem, z którego poszedłem na wojnę i do którego nie wróciłem, był zwykłą czynszową kamienicą, wciśniętą w ciasny szereg innych kamienic. Podkreślam to słowo: innych. Każda była „zwyčajną czynszówką”, ale każda tak się od pozostałych różniła, jak sobie już dziś nie mogą wyobrazić młodzi ludzie z prefabrykowanych bloków, identycznych na całym świecie.

Wszystkie łamie domy miały bramy lub sienie. W naszej sieni przed drzwiami, od strony zewnętrznej, siedziały zawsze na stołeczku kulawa staruszka, mieszkająca w ohydnej suterenie z dziobatym symem, urzymującym się z produkcji plasteliny. W tej suterenie ją produkował, resztki przydawały się nam do lepienia słoni i ludzi. Sień była dla staruszki balko-

nem, tarasem, ogrodem, wilegiaturą. Każdy mieszkaniec domu przystanął i zagadał, więc była też salonek towarzyskim. Staruszka zmarła w czasie oblężenia Warszawy i syn zawiózł ją na cmentarz, przytroczoną do roweru. To fakt, nie wydumana anegdotka.

Po wewnętrznej stronie drzwi, w środku sieni, stała często szczupła, ładnie ubrana pani w kapeluszu i walcu, z twarzą przyklepioną do okienka w drzwiach. Jeśli nie stała u nas, to na pewno w którymś z sąsiednich domów — tak samo schowana i w coś intensywnie wpatrzona. Nie odzywała się do nikogo i czasem ją dozorczy przeganiali, zdenerwowani niezrozumiałym zachowaniem pani. Mówiło się, że kogoś śledzi. Pewno chłopca. Widywaliśmy ją co najmniej przez rok.

W bramie pod jedenastym był wysoki jak ława kamienny stopień, więc tam chowali się ludzie przed deszczem, bo można było usiąść i odczekać. Pod dwudziestym stale popychali się, mocowali i kleli grandziarze (chuliganów jeszcze nie było), więc wszyscy obcy omijali tamtą bramę z daleka.

Wszystkie powieści świata, wszystkie filmy świata, dziejące się w mieście, nie mogą się obejść bez bram i sieni. Do bram uciekają tropieni złoczyńcy i chronią się tłumy przed szarżującą policją. Z bram wypada zaczajony rzeźmieszek. W bramie całują się zakochani, szepczą długo nie mogąc się rozstać. W sieni sprzedaje się fałszywe brylanty. Do bramy ucieka się przed nagłą ulewą, w sieni można zawsze spotkać kogoś kto pomoże w chwili omdlenia, zawrotu głowy, „udaru” jak to się dawniej mówiło. Brama czy sień były wejściem do domu, dom się nimi otwierał przed przechodniem, czuło się te domy i żyjących w ich wnętrzu ludzi. Ulica była przejściem pomiędzy domami.

Notuję te uwagi nie z sentymentalnego żalu za lepszą przeszłością, tylko żeby zwrócić uwagę na jeszcze jedną komponentę zmieniającej się radykalnie obyczajowości, zmieniającego się na każdym kroku i pod każdym względem obrazu świata. Dziś po nowoczesnych blokowych osiedlach człowiek — zwłaszcza wieczorem — krąży jak po Księżycu. Wszystkie domy odwrócone są do niego plecami, wejścia — czyli „klatki schodowe” — mają pochowane gdzieś z tyłu, oddzielone trawnikami, niegościnnie. Także rzędy frontowych okien oddziela od przechodnia szeroki pas trawy. Nie ma sklepów. Gdzieśgdzie tak zwane pawilony, a przy nich oaza światła bijącego z wystaw. Tych wystaw nikt przechodząc, ot tak sobie, od niechcenia, nie ogląda. Zeby je obejrzeć trzeba specjalnie podejść, nalożyć drogi. Wystawa nie zachęca więc do kupna i pewnie dlatego przeważnie nie ma na niej towaru. Niepotrzebny. To nie wystawa, to po prostu wielkie okno do sklepu.

W takiej blokowej dzielnicy nie ma żadnej możliwości kontaktu człowieka z ulicą — z ludźmi wewnątrz domów. Dwie rzeczywistości. Dwie planety. Absolutna obojętność otoczenia wobec przechodnia. Pustka, zimna, bezludna pustka. Może się zdarzyć nie wiem co — nikt nie wybiegnie, nie wciągnie do bramy, nie zaprosi. Nawet nie wyjrzy oknem, okna się zastania żeby był lepszy obraz w telewizorze.

Dlatego ludzie tamteży nigdy nie chodzą, jeśli nie muszą. Do chodzenia są stare ulice śródmieść, pełne bram i sieni, jak tamta na warszawskim Powiśiu.

A zresztą — po co w ogóle chodzić po ulicy? Tyle co tramwajem do pracy i z powrotem, nie?

CWIEK